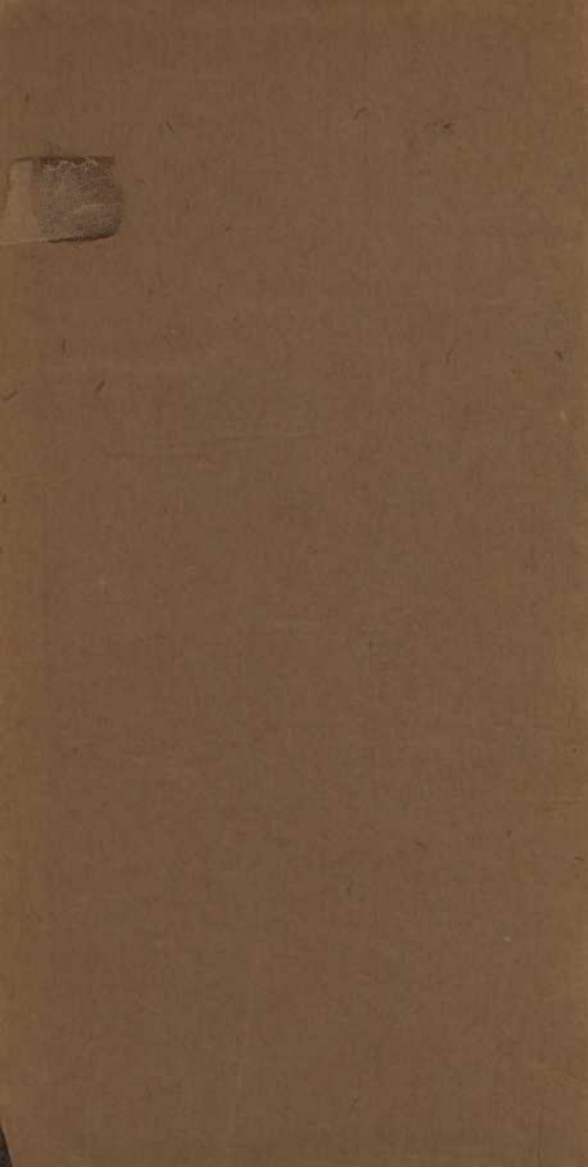


Tow. Przyjaciół Nauk w Przemysłu.

D _____



Łopek 62.

Kazimierz Daniłowicz-Strzelbicki

L: 451.

JAK TO SIĘ KOŃCZY...

451

SCENY Z ŻYCIA

~~BIBLIOTEKA~~

~~URZĘDNIK TOWARZYSTWA UB: W KRAKOWIE~~

~~Przyjaciół nauk w Przemysku~~

3798

~~B~~



~~VII-1-59~~

~~WARSZAWA~~

WYDAWNICTWO KASY WARSZAWSKICH
POMOCNIKÓW KSIĘGARSKICH

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA

1904

5

3748 933

23

Дозволено Цензурою
Варшава, 29 Апрелья 1903 года.



1000173253

7.13

**BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN**

K. 1160/56/1227

~~BIBLIOTEKA
URZĘDNI: TOW: WZ... KRAKÓW
SEKCJA IV~~

I.

Spojrzał na zegarek, zerwał się od biurka i podszedł do okna.

O tej porze szedł zwykle do niej.

Przeciągnął się leniwie, podniósł ramiona w górę, prostując się po kilku godzinach pracy, która go przykuła do krzesła.

Na biurku piętrzyły się akty sprawy, którą badał, robiąc notatki, potrzebne do obrony.

Ale, mimo całego wytężenia myśli, nie mógł jeszcze wynaleść nieodpieralnego punktu wyjścia...

Odsunął firankę, patrzył na ulicę...

Dzień był jasny, pogodny.

Pod blado-niebieskim sklepieniem nieba, domy stały jakies wesołe, uśmiechnięte w promieniach słońca, które zalewało światłością ulicę...

Jaskrawo plamiły się barwy i złocenia szyldów, gdzieś zabłysła, sypiąc tysiące iskier, szyba otwartego okna.

Wiatr lekko kołysał liście drzew, sięgających prawie pod jego mieszkanie, z którego widział całą ulicę, ciągnącą się długą barwną smugą aż do zakrętu, ze zmniejszającą się linią domów, o przygasłych suchych barwach, jeżących się w niebo występami gloryetek i kominów.

Dochodził go z dołu odgłos kroków przechodniów, dzwonki tramwajów, płynących jak wielkie kolorowe pudła środkiem ulicy, na której roiły się dorożki, szybko mknęły powozy z kobietami w jasnych tualetach.

I wrzało wszystko życiem, beztroską, ruchem wielkomiejskim...

I Brzozowski czuł w sobie dobrą lekkość...
Było mu wesoło i słonecznie.

Czuł że rzuciłby się zaraz, teraz, w ten wir, który kotłował się u stóp jego i pędziłby tak pięknym powozem, przez jasne ulice, wśród wykwintnie odzianych kobiet.

Piłby tak pełnemi usty życie, kipiące uciechami życie.

I nagle prawie bezwiednie, poszedł do stolika, wziął leżący tam kapelusz i laskę, pragnąc wyjść...

Na progu pokoju spotkał go służący.

— Proszę pana, list...

— To go połóż na biurku.

Ale w tej chwili spojrział na adres. Pismo matki...

Włożył kapelusz na głowę, laskę pod ramię, zatrzymał się i rozerwał kopertę.

W miarę jak czytał chmurniał. Ta wesołość i lekkość które w nim przez chwilę były, nikły, tajały.

Bo znowu było to samo: prośby, zakłęcia, aby stosunek swój z Zosią zerwał, żeby »ustatkował się« i nareszcie starał się o Anię, która go kochała i była przecie doskonałą dla niego »partją.«

Jakieś zniecierpliwienie ogarnęło go. Coś załaskotało pod sercem, uczuł znowu konieczność wyjścia, ruchu, biegu niemal.

Wyszedł.

Na ulicy, nakładając rękawiczki, przypomniał sobie że miał być u Łęckiej, tej ślicznej Łęckiej której sprawę separacyjną prowadził.

Wiedział że jak inne lgnęła do niego zachwycona jego postawą i tym jakimś czarem który płynął od niego, »od pięknego Brzozowskiego,« uznanego za zwycięzcę bez walki niemal.

Wyprostował się, głowę uniósł i szedł tak wysoki, smukły, istotnie bardzo piękny.

Mijały go kobiety, patrząc mu w oczy, szepcząc między sobą, a on obrzucał je długimi spojrzeniami, bez woli prawie, z przyzwyczajenia.

Przeszła jakaś wysoka blondynka bardzo zgrabna; usłyszał jak powiedziała:

— Patrz ten cudny Brzozowski.

Chciał się wrócić za nią, ale Zosia czekała, poszedł dalej.

Znowu mu przyszedł na myśl list matki.

Zirytowanie ogarnęło go ponownie: przecież dzieckiem nie jest, wie co robi.

Stosunków takich jak z Zosią nie rozrywa się tak, ot, z dnia na dzień. Zapewne wszedł w to wszystko za daleko może, no, ale Zosia go kocha, i jak jeszcze. A i on ją kocha, to jest wprost potrzebuje jej. Sam nie wie. Najprędzej kocha, bo lubi tak jej oczy, malutkie usta, trochę rozchylone, delikatny kameowy profil, pod kaskadą jasnych włosów, prawie popielatych...

Lubi widzieć ją codzień, choćby na chwilę.

A potem ona jest matką Luni...

Znowu dobre, ciepłe uczucie owładnęło nim.

Kochane dziecko, Lunia! Jego córka; ma też same oczy, wysokie czoło, jego wesołe, swobodne spojrzenie... Przecież nie może być córką tego Horna, byłaby takim orangutaniem jak Dziutek...

Rozweseliła go ta myśl...

Uklonił się jakiejś damie, która aż się wychyliła z powozu, oddając mu ukłon.

Przypomniał sobie wieczór kiedy był z nią sam na sam, tak długo...

— Panie Brzozowski, kochany adwokacie! i gruby pan w nankinowej rozwianej marynarce, ocierając pot z czoła wielką chustą, zatrzymał go za rękaw.

— Witam pana.

Brzozowski był trochę sztywny i wyniosły; koledzy mówili o nim: anglik, arystokrata.

— Panie mój wyrok jeszcze nieodebrany, a ja wpadłem tylko na parę godzin, więc...

— Przepraszam pana ale spieszę się bardzo. Czekaam dzisiaj w godzinach przyjęć, od piątej. Do usług...

I podawszy grubemu panu końce palców poszedł dalej.

— Moje uszanowanie panu mecenasowi, kłaniał się jakiś inny klient...

Brzozowski oddawał ukłony, zajęty jednak tylko sobą, pilnując każdego swego kroku, ruchów, postawy, śledząc wrażenie jakie wywoływał nawet na przechodzących służących z których jedna, młodziutka i ładna, w szarej zarzuconej na

ramiona chustce, tak bardzo mu się podobała, że aż obejrzał się za nią i spotkał się z uśmiechem i wzrokiem dziewczyny.

Doszedł wreszcie.

Wszedł na wschody, spotkany w bramie niskim ukłonem stróża, który tyle razy późno w noc otwierał mu drzwi.

Zadzwoił.

Ktoś biegł szybko... Zgrzytnął klucz, zadzwonił łańcuch i Zosia w pół rozpiętym szlafroczku, z rozpuszczonymi włosami, rzuciła mu się w ramiona.

Pocałował ją w czoło, w rozwichrzone włosy, ale ona podniosła głowę dając usta, rozchylone, wilgotne...

Położył laskę i kapelusz, przeciągnął ręką po włosach, napróżno usiłując zobaczyć się w zakurzonym przedpokojowym lustrze i wszedł za Zosią do jej pokoju.

— Dlaczego ty się nie ubierzesz Zosiu, — spytał, mimowolnie nieprzyjemnie dotknięty nieładem jaki w pokoju panował i ubraniem Zosi.

Rzuciła paletę, którą podniosła z ziemi i wskakując mu na kolana, tuląc twarz do jego twarzy, usta przy ustach, szybko mówiła:

— Bo maluję cały dzień, nie mam czasu. A zresztą ty przecież lubisz jak jestem bez gorsetu, możesz mnie lepiej objąć, silniej, ot, tak!...

I ręką jego opasała talię...

Brzozowski przytulił ją do siebie...

Znowu to uczucie ciepła, roztkliwienia rzewnego ogarnęło go. Było mu tak dobrze, spokojnie, że łzy napływały mu do oczów...

A ona szepnęła:

— Kochasz? Powiedz że kochasz?

Przycisnął ją mocniej do siebie, jakby siłą uścisku pragnął dać miarę ogromu miłości i całując oczy, usta, szybkimi, gorącymi pocałunkami, cicho mówił:

— Kocham, kocham, strasznie kocham. I w tej chwili znudził się tem i pomyślał: albo ja ją kocham?

Ale ucałował znowu, żeby ona tej myśli nie odgadła.

Ona przymknęła powieki i jak uśpione dziecko, położywszy głowę na ramieniu Brzozowskiego powiedziała jeszcze:

— Ach jak dobrze, jak mi dobrze!... Ty teraz tak rzadko mówisz mi że kochasz... Zawsze się śpieszysz...

Przerwał jej nagle podrażnioną uwagę.

Ale co ty mówisz? — Nie wiesz, nie czujesz jak cię kocham?

— Tak, czuję! Ale ty dawniej lepiej, mocniej kochałeś, chciałeś mnie więcej, dodała cichutko kryjąc twarz w rozpuszczonych włosach, które jasnym płaszczem rozwiały się po ramieniu Brzozowskiego.

To co mówiła, poruszyła go...

Pragnął jej zawsze to jest wtedy, kiedy długimi splatali się uściskami, ale w myśli jego bardzo mało z niej było. Za progiem jej domu, w porze, kiedy nie miał iść do niej nie myślał o niej, a raczej nic w nim nie naginało myśli ku niej. Przytem w ostatnich czasach jakiś zły krytycyzm zakradał się do tej nie-

zupełnej miłości; patrzył Brzozowski na Zosię jakoś inaczej niżby chciał sam; teraz czując że ona ten dziwny stan odgadła był niemal zły.

— Dzieciuch jesteś, rzucił prędko.

Pogładził ją po włosach i odsuwając trochę od siebie, spytał:

— A gdzież Lunia?

Zosia zerwała się, siadła na krześle obok niego i zaczerwieniona, nagle rozgrądkowana, mówiła:

Lunia i Lunia! Ty się nie pytasz czy jestem chora czy zdrowa, czy mi dobrze czy źle, tylko Lunia i Lunia! Idź sobie do niej, jest tam, idź, idź, ja cię znać nie chcę, dodała z zawiścią i złością jakąś.

Brzozowski aż drgnął. Niemile, przykro, zgrzytem jakimś zadźwięczały mu te słowa.

Pohamował się jednak aby nie wybuchnąć i spokojnie odrzekł:

— Dzieciak jesteś, sama nie wiesz co mówisz...

Ale go zmroziła i już nie mógł zbliżyć się do niej.

Ona wpatrzyła się w niego, paląc go spojrzeniem, całą duszę w oczy swe kładąc i wtem usunawszy mu się do nóg, podniosła głowę do góry, rękami oplótła go i porwana, płomieniejąc miłością mówiła:

— Słuchaj! Ty się nie gniewaj na mnie. Ja cię tak kocham, ubóstwiam! Ja szaleję za tobą. Ty dla mnie jesteś wszystkim, wszystkim... Ja chcę żebyś ty mnie jedną kochał; zazdroszczę każdemu kto mówi z tobą. No, słuchaj, spojrz na mnie.

Głos jej się złamał, a łzy zabłysły wśród długich ciemnych rzęsów...

Pałała miłością, oczy swe smutne podniosła na niego a w Brzozowskim roztajała chwilowa niechęć i porwał ją w ramiona.

Stali tuląc się do siebie, tak bardzo piękni oboje, że aż ta występna ich miłość zda się grzechem być przestawała.

— Mój ty! mój! — szeptała Zosia tuląc się do niego.

A on z troskliwością i troszką wyższości, którą miał zawsze dla kobiet, gładził jej włosy, z uśmiechem patrząc w wzniesione ku niemu jej oczy.

— Kochasz? — tak samo kochasz? jak wtedy w Olękach, kiedy nam tak strasznie dobrze było?

Przypomniawszy sobie tę zapadłą stronę, wśród lasów starych, poprzez które mąż Zosi prowadził nową linię kolejową...

Uśmiechnął się na to wspomnienie i spytał:

— A pamiętasz ten nasz spacer przy księżycu, po borze. Bałaś się robaków świętojańskich, ciszy leśnej...

— I przytuliłam się do ciebie, a ty mnie tak pocałowałeś!... Pocałuj tak teraz!...

Uścisnęli się długo.

Z drugiego pokoju rozległ się krzyk dziecięcy.

— Co to? — Lunia krzyczy i Brzozowski zerwał się.

A ona:

— Nie, to nie Lunia, to Dziutek, biją się pewnie... Patrz maluję ten obrazek ze studyów z Olęki...

Ale on nie słuchał, tylko wpadł do pokoju, z którego rozlegały się krzyki... Kiedy stanął na progu, dzieci zatrzymały się nagle, załęcznione, unieruchomione, tylko Lunia, zapłakana w koszulce i jednej pończoszce, cała drżąca i łkaniem wstrząsana rzuciła się do niego.

Brzozowski schwycił ją na ręce i przycisnąwszy usta do wilgotnych od łez ocząt dziecka, spytał:

— Co ci Luniu moja? Czego ty płaczesz?

— Bo... bo... mnie Dziutek... tak uderzył, wyłkała wreszcie.

A Dziutek z kąta w którym stał głośno krzyknął:

- Nieprawda proszę pana, ja jej nie uderzyłem, tylko ona nie dała się nam bawić.

Lunia z rąk Brzozowskiego przerwała mu zaraz.

— A nie dam... nie dam. On z łuku strzelał do fotografii tatki... A ja nie dałam i nie dam...

Brzozowski uścisnął Lunię i stawiając ją na ziemię rzekł:

— No nie płacz Luniu, przysłę ci dzisiaj dużo takich słodkich cukierków, zobaczysz. Ty jesteś bardzo dobrą dziewczynką, że nie dajesz Dziutkowi strzelać do fotografii tatusia. A Dziutek pójdzie klęczeć za to, dodał nagle ostro i szorstko, jakby z zawiścią głuchą do tego małego chłopca, który stał obok drugiej siostry Wandzi, kręcąc w rękach trzciny łuk, sznurkiem nawiązany.

Teraz Brzozowski obejrzał się w koło siebie. Był to pokój dzieci; spała tam z niemi niańka Luni.

Brzozowski doznał nagle wrażenia, że jest w jakiejś podmiejskiej lepiance nędzarzy.

Podłoga była brudna, niezamieciona, łóżka z rozrzuconą nieusłaną pościelą, dawno znać niezmienioną, podartą, stały

rzędem, pod ścianą splamioną, pełną dziur.

Na stole, wśród sukienek i bielizny, stała szklanka niedopitej herbaty, flaszka mleka, resztki bułek, obok lampki naftowej bez klosza i małego lusterka, przy którym walał się grzebień.

Pod oknem, na krześle, w którego siedzeniu trzciniowem wypchano dziurę, stała miska z brudną wodą, na ziemi leżał długi ręcznik, na końcu którego zwinięty w kłębek spał kot.

Brzozowski spojrział teraz na dzieci, na Lunię.

Stała przy nim trzymając go za pojężakieta.

Była brudna, a łzy wymyły jasne smugi na jej twarzyczce, włosy nieuczesane wisiały w kosmykach splątanych, rączki powalane atramentem niosła do buzi...

— Co ty robisz Luniu, i odjął jej piąstki od ust a potem dodał: — dlaczegoś ty nieumyta, nieubrana? — I wy jak wyglądacie? zwrócił się do Dziutka

i Wańdzi nawpół odzianych, brudnych, wprost niechlujnych.

— Anusia wyszła, bo mama posłała ją na miasto, to kto nas miał umyć — odezwał się Dziutek.

— A mama was nie myje?

— Mama nas nie myje! z jakąś obrażoną dumą odparł znowu chłopiec.

Brzozowskiego zdjął ogromny żal na widok tego niesprzątniętego pokoju i tych brudnych rozczochranych dzieci zostawionych na łasce służącej.

Spojrzał na Lunię i z wielką urazą i złością do Zosi wrócił do jej pokoju.

— Ładnie tam, u ciebie! Przez śmiecie przewracać się można... A dzieci wyglądają jak stróżowskie bachory. Jak ty możesz o Luni nawet nie pamiętać...

Głos drżał mu z oburzenia. W tej chwili wprost nie lubił Zosi, był dla niej niemal wrogo usposobionym.

I ona wybuchnęła:

— Ja nie umiem cackać się z tymi dzieciakami. Jest służąca od tego, niech

się niemi zajmuje, — a potem, nagle, gniew ją opuścił i rzucając mu się na szyję szepnęła: — ja tylko ciebie kocham, ciebie, mój ty. Mnie nic nie obchodzi na świecie, nic, nic, tylko ty!

Brzozowski odsunął ją od siebie i uspokojony nieco mówił:

— No dobrze, droga moja, ja wiem że ty mnie tak kochasz, ale zawsze... Dzieci nie mogą obejść się bez matki. Przecież to skandal, żeby w takim domu, jak wasz, panowała anarchia: dzieci brudne, opuszczone, wszędzie nieład. Wczoraj Dziutka spotkałam obdartego, na ulicy, z łobuzami.

Jakby zmęczona Zosia chwyciła się za głowę i błagalnym głosem odparła:

— Dobrze, dobrze! wiem to wszystko. Ale mnie to tak męczy, ja nie mogę, nie mogę... Zresztą jak przyjedzie Adam, to zaraz będzie porządek.

Mówiła o mężu którego sprawy służbowe wydaliły z miasta na czas dłuższy...

Brzozowski mimowoli uśmiechnął się.

— No, bardzo pięknie, wiem że jak on wróci, to tu zaraz będzie porządek, ale to śmieszne żeby twój mąż musiał być gospodynią, niańką, bo ty nie potrafisz czy niechcesz się tem zająć.

Ona się roześmiała swobodnie:

— Mój kochany, on tak lubi gospodarować, nie trzeba mu przeszkadzać. O tu! wskazała na biblioteczkę, taki kurz że strach, zobaczysz jak tylko on przyjedzie zaraz pościera wszystko...

— No dobrze, dobrze, ale każ umyć i ubrać dzieci, Lunię...

— Jak tylko Anusia przyjdzie zaraz powiem...

Wtem Brzozowski przypomniał sobie ranny list od matki.

Usiadł i podnosząc z ziemi mały chiński wachlarzyk, rzekł:

— Ale! wiesz, dostałem od matki list. Znowu pioruny i błagania...

Zosia stanęła jak wryta. Jej drobne rysy skamieniały nagle, jakiś ból zamigotał w głębi wielkich oczu.

— I cóż ty zrobisz? — spytała.

Brzozowski roześmiał się.

— A cóż chcesz żebym ja zrobił?

I spojrział na nią.

A w niej coś jakby marzło, na ogromne jej szczęście niby czarny kir nachodził i uczuła się nagle oderwaną od niego, samotną; coś straszną, beznadziejną szarpało ją rozpaczą, ujrzała się jakby na krawędzi przepaści i wybuchając spazmatycznym łkaniem padła na krzesło.

Brzozowski rzucił się do niej, okrywał ręce jej pocałunkami, spijał łzy z powiek.

— Uspokój się Zosiu moja, przecie ja nie umiałbym żyć bez ciebie; no Zosiu! cicho już, moje dziecko, cicho już...

Był bezradnym wobec tej rozsłochanej kobiety, która przycisnęła się do niego jakimś kurczowym uściskiem.

Drzwi uchyliły się i Dziutek stanął na progu, z butem w rękę, zaglądając ciekawie.

Brzozowski zakłopotany, zajęty mdlejącą niemal Zosią, ostro krzyknął:

— Idź precz, nie zagłądaj.

Chłopiec drzwi szybko zamknął.

Cichemi słowy i pocałunkami kołysał teraz Zosię, uspokajał, upieszczał...

Aż zmiłkła i zamknęła oczy.

Miał na szyi żar jej ust, a trzymając ją wpół czuł jak chwilami wstrząsały nią nerwowe dreszcze.

Wtem rozległ się dzwonek.

Odskoczyli od siebie, ona przetała oczy, poprawiła szybko włosy, on przeciągnął palcami po węźle swego krawatu i oboje odwrócen, patrzyli na drzwi...

Ciężkie biegnięcie służącej, potem drzwi roztworzyły się i głos świeży, wesoły, pytał:

— Pani w domu?

Za chwilę cała jasna, słoneczna stanęła na progu Tonia Recka.

— Tonia! skądże ty tutaj? i Zosia odrazu wesoła rzuciła się do niej.

Nie widziały się od paru lat.

— A widzisz! Przyjechałam wczoraj z mamą, posłałam zaraz do biura adresowego, no, i jestem...

Obejrzała się i spojrzała na Brzozowskiego, który oparty o fotel, stał na boku.

Zosia zauważyła to spojrzenie.

— Tونیu! — pan Brzozowski...

On skłonił się a Tonia nachylając się do Zosi szepnęła jej do ucha.

— To on jest! ten piękny Brzozowski. Śliczny jest, wiesz! To twój stały flirt?

Zosia zaczerwieniła się nagle odwracając rozmowę:

— Siadajże, proszę cię. Cóż na wsi u was słychać?

— U nas? nic? Chcieli mnie za mąż wydać za takiego pana, co był tak gruby, jak jest długi, a taki długi, jak jest gruby, ale nie chciałam.

— Na długo przyjechałaś?

— O! na parę tygodni! Wiesz, tak się cieszę, że jestem tutaj. W przeszłym roku zawieźli mnie do Krakowa, dwa lata temu byłam przez całą zimę na Riwierze, ale tu mi najlepiej...

Spojrzała znowu na Brzozowskiego i po chwili:

— Pan stale tu mieszka?

A on jakby onieśmielony i zakłopotany cicho odrzekł:

— Tak, pani. Zajęcia moje trzymają mnie stale w mieście.

W pokoju dzieci rozległ się znowu płacz... Brzozowski drgnął, zrobił ruch, jakby chciał zerwać się, ale powstrzymał się i tylko wymownie spojrzał na Zosię.

Zrozumiała i zwracając się do Toni, rzekła:

— Moje pociechy czegoś krzyczą, muszę pójść zobaczyć co się stało.

Kiedy zostali sami, Tonia spojrzawszy prosto w oczy Brzozowskiemu, odezwała się:

— Ja o panu tyle słyszałam. Raz mi na ulicy pokazano pana, w zeszłym roku, na wiosnę, ale dorożka przeleciała tak prędko, że nic nie widziałam.

On bardzo miękkim, takim pieszczącym głosem odparł:

— Któż pani mówił o mnie?

-- Kto? Wszyscy. Jedno tylko ciągle powtarzali że taki pan bałamut i taki piękny...

— Przekonała się pani, że ani jedno ani drugie...

Mówił takim głosem, jakby każde słowo tej dziewczyny sprawiało mu nad wyraz wielką rozkosz i wywierało na nim niesłychane wrażenie; jednocześnie jednak hipnotyzował, ujarzmił swą mężką pięknnością i siłą, którą umiejętnie, a niemal niewidocznie, przy każdym słowie czy ruchu uwydatniał...

Ona roześmiała się...

— No, nie wiem. Pan wygląda na niebezpiecznego człowieka... Taki wilk w owczej skórze...

— Nie bywam nigdy obłudnym; jestem zawsze szczerym...

— Ach, tak? Za każdym razem? To jest, wmawiając każdej napotkanej kobiecie, że ją jedną tylko pan ubóstwiasz i ubóstwiałeś, wierzysz pan na-

wet sobie. To tak jak ja — dodała po chwili...

Brzozowski wstał, wyprostował się, podając nieco naprzód szeroką pierś. Ta dziewczyna podobała mu się szalenie.

Odezwał się po chwili, znowu tym trochę trwożnym niepewnym głosem:

— Jaka to szkoda, że ja panią poznałem.

— Jaktó? A to ładny komplement!

— Niech pani pozwoli skończyć, — mówił dalej cicho i wolno, a słowa jego zdawały się do duszy wślizgiwać. — Żałuję że panią poznałem, bo pani musi być przemiłą przy bliższem poznaniu, a kto wie, czy się jeszcze zobaczymy.

Zamyślił się i po chwili, proszącym tonem dorzucił, spuszczać głowę:

— Gdyby pani chciała, tobyśmy się zobaczyli. Można przecież przy mnie powiedzieć pani Zofii: będę u ciebie jutro... pojutrze...

— Co? Pan mi *rendez-vous* daje i to tu, u Zosi?

Brzozowski podszedł bliżej i cicho:

— Ja bardzo proszę, dobrze?

Tonia spojrzała zdziwiona, a w tej chwili, odgarnąwszy portyere, stanęła na progu Zosia.

Brzozowski znowu wyprostował się, a Tonia mimowoli zakłopotana, podeszła do Zosi i mówić z nią zaczęła to o dawnych latach, to o adresach modniarek...

Ale Zosia była roztargniona i widocznie zdenerwowana, więc Tonia, szybko pożegnawszy się, wyszła, uprosiwszy Zosię, do matki, do hotelu...

Zaledwie się za nią drzwi zamknęły, Zosia stanęła nagle przed Brzozowskim i głosem, w którym łyzy drżały, zawołała:

— Tak? To ja ci nie wystarczam, to ty mnie tak kochasz? U mnie, u mnie w domu mówić coś podobnego takiej... marnej kokietce! Nie wpuszczę jej więcej na próg mego mieszkania!...

Brzozowski czuł się winnym; ale nie mógł i nie umiał oprzeć się pokusie

wywarcia czaru swej osoby na każdej spotkanej kobiecie. Było to dlań potrzebą, koniecznością niemal.

Teraz stał się znowu takim uległym, jakim dawno już nie był z Zosią, a bywał zawsze z temi które zdobywał, wiedząc że mu to ogromnie pomaga, — szepnął więc:

— Zosiu, jak ty możesz siebie przyrównać do tej rozhukanej dziewczyny, zostawiłaś nas samych, więc ją bawiłem, jak mogłem... Zresztą Zosia, sama lubi, kiedy jej Henio podoba się innym, prawda? — dodał z przymileniem, przechylając głowę.

I objął.

A potem znowu mówił, odrywając jej rękę od oczu:

— No nie płakać! Spojrzeć się na mnie, ot tak, tem oczkiem, tem drugim, uśmiechnąć... no... troszeczkę... o tak!

I ucałował jej usta, a ona rozbrojona mówiła:

— Bo widzisz ja jestem strasznie za-

zdrosna, a ty jeszcze tak mówiłeś, że mi do głowy nie wiem co przyszło.

— Ależ dzieciaku jeden, przecie ja muszę ludzi widywać.

— To sobie ludzi widuj... ale nie kobiety — wpółżartem już odparła i zaczerwieniona ukryła głowę na jego ramieniu.

A on roześmiał się i odrzekł:

— Kiedy ja muszę kobiety także widywać, czy to w towarzystwie, czy jako klientki.

— Kobiety nie procesują się.

— Tak? a sprawy rozwodowe... Takich mam przecie najwięcej, Ale, ale, ja tak siedzę, a właśnie czeka na mnie jedna dama, która się z mężem rozwodzi.

— Dama? Ładna? Kto taki?

— Nie znasz jej... Zresztą nieładna.

— Kto? Powiedz!

— Oh! nie nudź, Rosengartenowa, teraz wiesz?

— Co ta śliczna żydówka, taka wysoka! Ty nie pójdziesz do niej!

— A to dobre! Dlaczegoż mam nie iść? Mam jej sprawę i zaraz iść muszę.

— Nie idź! ja cię proszę.

— Cóż ty znowu! O pierwszą lepszą żydówkę będziesz zazdrosną? A to ładne będzie życie!

— No nie gniewaj się... Ale widzisz, ja się tak boję o moje szczęście, o ciebie, żeby mi cię nie zabrali.

On wyprostował się znowu, pocałował ją w czoło i odrzekł:

— Uciekam... Nikt mnie ci nie zabierze bo się zabrać nie dam. Kocham tylko tę nieznośną Zosię... Ucałuj Lunię odemnie i do widzenia.

— Będiesz wieczorem? Przyjdź mój złoty.

— Jeżeli siostra moja nie przyjedzie to będę, a jak nie, to jutro zajdę w dzień. Do widzenia.

I lekki, wesoły, wyszedł.

II.

Zosia leżała na kanapie.

W pokoju było ciemno, tylko drżące, przymglone firankami światło wpadało z ulicy, rozświetlając okno i rzucało na białość przeciwległej ściany jasny snop światła, z migającymi cieniami ram okiennych.

W Zosi był chaos.

Był w niej zamęt myśli, co powstawały nagle, ożywiały ją na chwilę nadzieją i gasły zaraz pod naporem myśli innych łzawych, ponurych.

Myślała o nim, o Brzozowskim...

Od trzech dni nie widziała go nawet.

Pisywał wprawdzie krótkie kartki, ale nie miał dla niej ani jednej wolnej chwili.

Bawiła u niego matka i zameżna siostra, a Zosia wiedziała dobrze po co przy-

były; chciały rozerwać jej stosunek z Brzozowskim, jego zaś ożenić z Anią Podhorską, nieładną, ale bogatą panną, ogromnie w Brzozowskim zakochaną. I Zosię dławiał żal beznadziejny, okrutny; czuła się porzuconą niby w wielkiej pustce i było jej strasznie i zimno w tem osamotnieniu.

I przypomniawszy sobie inne, takie słoneczne, dobre dni, kiedy Brzozowski był tylko dla niej, kiedy w każdym jego ruchu, w słowie każdym czuła ogromne uwielbienie i bezgraniczną miłość, której nic nie krępowało skrzydeł.

Teraz było inaczej.

Zosi zrobiło się tak rozpacznie, że łzy spływały jej po twarzy, a ona leżała z otwartymi oczami, zgorączkowana, snująca swe wizye.

Nie, on ją kochał, napewno kochał... ale trudno był tak piękny, podobał się zanadto wszystkim, nawet takiej Toni, która od dwóch tygodni tu z dziesięć razy była, pewno żeby go zobaczyć. A Zo-

sia chciała go tylko dla siebie bo w niego wszystko najlepsze z duszy swej włożyła.

Stała jej w myśli długa kohorta dni, które przeżyła. Widziała się dziewczynką małą, w czarnej sukience, z welonem który jej oczy zasłaniał, że o mało nie upadła, kiedy ją prowadzono za trumną matki.

Potem nudne szare lata nauki, zrządzenia starej nauczycielki i takie suche życie, wiecznie zajęte, bez jednej chwili cieplejszej, bez pieszczoty i pocałunków.

Potem klasztor.

Szereg jasnych dni u tych białych Sióstr, co jak dobre duchy krążyły wśród nich, po alejach wielkiego ogrodu, tarasami, ku błękitnej wstędze Loary schodzącego. Dobre, senne dni, w których ogromny spokój wpłynął w jej serce, oderwał od ludzi, uniósł ku niebu, tak rozświetlił i wyanielił.

Była w niej wtedy wielka czystość i tylko potężne wzloty do Boga w ekstazach, duszę jej rwały.

Później dom opiekuna, z zapachem da-

wno zamkniętych pokojów, wysokich, pustawych, ze sztywnymi starymi meblami o urzędniczych minach.

I raz przedstawili jej takiego wysokiego chudego pana, ani ładnego, ani brzydkiego, trochę łysego, trzymającego się prosto, — powiedzieli jej że to inżynier Horn, a później kazali wyjść za niego.

On przychodził codzień, przynosił cukierki, brał jej miękkie, małe ręce w swoje zimne, suche dłonie i mówił cicho, jakby z lękiem o swem szczęściu.

O jej szczęściu nikt nie mówił i szła tak przez życie, z zamkniętymi oczami, popychana przez los i opiekunów, z kąta w kąt.

Nie czuła się jednak nieszczęśliwą; była dzieckiem nieledwie, życia nie znała, a przytem była w niej jakaś bierność i brak ochoty do buntów.

A potem kiedy już została matką Dziutka i Wandzi, tam, w tej leśnej głuszy, w której mieszkać pomimowoli musiała, zajaśniało słońce jej życia.

Przyjechał Brzozowski...

I ona przebudziła się. Zagrało w niej serce, rozпалиły się nieznane jeszcze uczucia... Zdumiała sama...

Było jej tak, jakby ją kto z piwnicy wyprowadził nagle do cudnego ogrodu, w upalny słoneczny dzień...

Pewnego ranka powiedziała cicho: »kocham« i zdało się jest jakąś inną.

I odtąd szaleć zaczęła.

Każdy nerw, każda w niej kropla krwi do niego należała. On był całym jej dobrem, jedynym szczęściem i życiem.

U. Sjadła teraz na kanapie...

Wzusała jakieś palenie w gardle, była wprost fizycznie chorą. Przez mózg jej przelatywały wichrem setki myśli; raz promieniała radością, widziała się z nim sama, gdzieś daleko od ludzi, w ustroniu leśnym, w ciszy gwarem ptasząt rozspiewanej, to znów widziała go w buduarze jakiejś kobiety, jego...

Szarpała na sobie ubranie, zrywała się i biegała po pokoju, załamując ręce.

— A jeżeli go ożenią?...

Staneła jak wryta.

Dadzą mu żoną młodą, piękną i on ją, Zosię, porzuci, chociażby dla zmiany, dla nowości.

On dobry, kocha, ale taki lekkomyślny, bałamut, tak lubi życie, tak chce go używać!

Padła na poduszki łkając.

Zerwała się znowu.

Ucieknie z nim za granicę.

Ale czy on zechce?

Wtem nowa myśl błysła.

Siadła i długo tarła w zamyśleniu czoło, wstała, siadła znowu, aż w końcu z rezygnacją machnęła ręką...

Tak, tak będzie najlepiej...

Ta Ania, to najlepsza żona dla niego.

Nieładna, ale dobra, kocha go do szaleństwa więc dbać o niego będzie, bogata...

A ona, Zosia, rozwinie cały czar swój i utrzyma go przy sobie.

Żonaty Brzozowski przycichnie i nie będzie bałamucił innych kobiet, a przy-

wiązany do Zosi, mając w domu wygody, będzie szczęśliwy...

A tamta, żona, nieładna, niebezpieczną nie będzie.

Uspokojona, leżała teraz Zosia, snując swe marzenie i rojąc, że skoro to wszystko do skutku dojdzie, ona często u nich bywać będzie, a może uda się na lato wysłać Anię do jej matki na wieś, a ona z Brzozowskim pojedzie za granicę w jaką ustronń górską.

Jakieś cienie świetlane przemknęły po ścianie, a z dołu ulicy dochodził gwar, odgłosy dzwonków i turkot dorożek...

Leżała teraz cicho, przeciągając się długo, wczuwając się w rozkosz spoczynku.

Aż drzwi skrzypnęły.

Zerwała się i siadła na kanapce, trochę jakby ze snu zbudzona.

Wszedł Horn.

— Spisz Zosiu? — spytał cicho...

— Nie. Siadaj.

Siadł na krześle, w promieniu światła,

które ostro obrysowało jego suchy profil i rozświetlało małą, łysą głowę.

Patrzyła na niego.

Lubiła go, ot, poprostu jak przyjaciela...

Oddawna trzymał się z dala od niej, zawsze jednak dobry, łagodny, uważny i kochający.

— Dopiero teraz wróciłeś do domu — spytała.

— Tak zjadłem obiad i przyszedłem zaraz do ciebie. Malowałaś dzisiaj?

— Trochę. Te chryzantemy, któreś mi wczoraj przyniósł, mają ogromnie pospolitetony. Przynies mi bledsze, subletniejsze.

— Ależ owszem. Poszukam, pewno znajdę. Twój pastel bardzo podobał się Kryńskiemu. Mówił, że widział go w salonie i w recenzji napisze o nim.

— Ach jak to dobrze... podziękuj mu za to...

Umilkli.

Po chwili, jakby chcąc jej zrobić przyjemność, spytał:

— Henryk był?

Posmutniała zaraz.

— Nie, nie był, napisał parę słów...
Matka i siostra są u niego.

— A wiem, widziałem dzisiaj te panie.
Zosi nowa myśl zaświtała.

— Wiesz, jego chcą ożenić.

Horn spojrział na żonę. Dlaczego ona
tak obojętnie mówiła?

— Chcą go ożenić? — powtórzył.

— Tak i ja myślę. że to bardzo do-
brze będzie dla niego. Żeby on się z Anią
ożenił...

Horn wstał... Coś jak błyskawica przem-
knęło mu radością przez duszę, coś zaświ-
tało na chwilę jak promyk nadziei.

.Może ona go już nie kocha... może zo-
bojętniała? I on mąż zdobędzie ją całą
dla siebie?...

Głos łamał mu się gdy spytał:

— Więc ty myślisz, że to będzie... do-
brze jak on się ożeni.

— Naturalnie, będzie miał swój dom,
nie będzie tracił życia po świecie.

Hornowi krew do głowy uderzyła. Jego

olbrzymia miłość do żony wybuchła nagle, w jakimś szalonem uczuciu wdzięczności i rozradowania bez granic. Rzucił się do niej i chwytając jej rękę, gorąco ją ucałował, szepcząc mimowoli:

— Moja Zosiu, moja kochana, jak mi dobrze...

A ona zrozumiałwszy co się z nim działo, ze smutkiem odparła:

— No co tobie, mój stary? Siadaj i słuchaj. Otóż trzeba będzie Henryka namawiać żeby się żenił, ale tylko z Anią rozumiesz?

— Rozumiem — odparł Horn zamyślony, przeczuwając teraz, że to nowe urządzenie spraw, w losie jego napewno zmian nie przyniesie.

Spojrzał na żonę ukradkiem, z lękiem nagłym...

Ściągnęła brwi, zbladła trochę i zwróciwszy się znowu do niego, rzekła:

— Tak trzeba mu to mówić, trzeba żeby on miał żonę, żeby się nie uganiał za temi... klientkami, czy

tam innemi — dorzuciła w nagłym gniewie.

Umilkli.

A Horn zrozumiał.

Pochylił głowę, czuł ściskanie w gardle, było mu okrutnie pusto i źle. Chwilowa nadzieja znikła i w myśli drżało mu tylko: »Jezus, Marya! czy to się nigdy nie skończy?«

Podniósł wzrok na żonę.

Siedziała na kanapie, z zaplecionemi na kolanach rękami, patrząc nieruchomo gdzieś w dal, bezmyślnie, w głębi swej duszy może tylko żyjąc. Światło lekko oświecało delikatny jej profil i złociło rozwiane nad czołem loczki.

Horn patrzył i rozpacz beznadziejna zalewała mu duszę; czuł, że zawsze z daleka, patrzeć będzie na tę delikatną, ni-
kłą kobietę, jak pies na pana, on ten jeden na świecie, który miał do niej wobec społeczeństwa prawo...

Była przy nim, tuż, obok, w ciszy tego pokoju, na jego łasce i niełasce i on, nie

mógł, nie miał siły porwać jej, zmiążyć w uścisku; stała między nimi tylko jej wola, coś nieistniejącego, a jednak była to nieprzebyta zaporą.

Ona zamknęła się w sobie jak w puklerzu, a jego miłość rozbijała się o ten chłodny pancerz obojętności.

Dusza mu się rwała do niej, mógł, miał prawo i nic niemógł, bo ona niechciała, bo każde jej spojrzenie, każdy ruch paraliżował go poprostu.

Miał uczucie, że się zwija, skula pod jej wzrokiem...

I nigdy już nic, nic z niej nie miało być dla niego, dla człowieka, który bałwochwalczo ją wielbił, do zbrodni, do szalu, co jak niewolnik pracując przez życie całe do niej, zaparł się najwyższych uczuć ludzi, spodlił we własnem poczuciu godności i honoru, patrząc obojętnie napozór, jak oddawała się innemu, którego miał prawo zabić, a którego witał mile i zapraszał do siebie przez miłość dla niej.

Ona zdawała się nawet nie widzieć tej

olbrzymiej jego miłości, która aż do występku sięgała, rzucała go w błoto, wystawiała na pogardę i szyderstwa, piętnowała niemal.

Był przez całe życie uczciwym, do przesady niemal, nic nie zaciążyło mu na sumieniu.

To jedno, to jedno.

Przymknął oczy, głowę oparł o poręcz krzesła.

Czuł się tak znużonym, tak zmęczonym i po raz setny zadał sobie pytanie: dlaczego tak jest, co go pcha do tego. W życiu miał energię, zarządzał sprężystością swymi urzędowymi sprawami, raz strzelał się o bagatelkę niemal, nakazywał szacunek i wzbudzać go umiał...

Tylko tu...

Kiedy poznał Zosię, doznał wrażenia, że to coś co się nazywa życiem, ta jakaś utajona przyczyna, która kieruje bezwiednymi czy wiadomymi aktami naszej woli, stała się Zosią...

W nim była ona; w jej rękach były

niby wszystkie nici, które poruszały jego myślą, uczuciem i dumą...

Zosia uleciała dlań odrazu w jakiś niebiański świat, a on klęczał przed nią...

Ona była granicą jego woli i rozsądku. Oślepił moralnie wobec niej, jej zachcianki rzucały nim jak dziecko piłką...

Kiedy się to stało z Brzozowskim, dowiedział się przypadkiem sam. Na własne oczy widział ich w uścisku.

Wówczas dostał ataku apopleksyi i przez długie miesiące leżał sparaliżowany.

Czuł wtedy ukojenie w tej swojej nicości i czekał końca.

Nie przyszedł jednak, a w nim jakby się coś zapadło: poprostu pół dawnego życia umarło w nim, ogień sumienia zgasł. Zaczął popełniać występki za występkiem, przez egoizm.

Bez Zosi nie mógłby poprostu istnieć, brał więc te okruszyny, które mu dawała i żył.

Miał chwile głuchej i strasznej zawiści, zrywał się jak huragan pragnąc miażdżyć,

łamać, niweczyć... Ale zaraz potem mówił sobie: »nie, nie, nie« i tak jakby zasypiał.

Widzieć ją trochę, ucałować czasami, objąć, słyszeć jej głos...

Sobie mówił, że to oczarowanie.

I powoli w tej walce z sobą tępiła się jego wola, stawał się gnuśnym, porywy cichły, stawały się coraz rzadsze.

Uspił w sobie bunt i żył tak z godziny na godzinę, tymczasowo, dzisiaj istniejąc nadzieją, że ją obejmie przelotnie jutro, że się do niej wieczorem na chwilę przytuli, pojutrze, że choć patrzeć na nią będzie.

Sypialnię przed nim zamknęła.

Tak spodłał, tak znikczemniał, że czasami noc całą, rozebrany, w gorączce przestał pod jej drzwiami, słuchając jej oddechu, z żarem w oczach, z bezłzawym łkaniem, które mu kurczem ścisnęło suche i rozpalone gardło.

Raz słyszał jak był u niej Brzozowski.

Nie miał w mózgu jednej myśli obrony,

pragnienia odebrania, nic, tylko słuchał duszą całą ich szeptów, pocałunków, widział ich razem, płomieniał z nimi poprostu i drżał z ciekawości niewytłómaczonej, bezwstydney...

A potem uciekł z domu, żeby nie wiedzieli, że był.

I tak żył teraz, cały nazewnątrz siebie, bo w głąb swej istoty nie patrzył, nie mógł, nie chciał. Zdawało mu się nieraz że tam, w nim, w głębi jest wielka cuchnąca błotem kałuża. Nie chciał się w niej zobaczyć. Na swoje myśli narzucił hamulec, który stał się w końcu przyzwyczajeniem. Nie myślał o sobie i o swem położeniu. Żył niemal automatycznie. Kiedy mu przychodziły chwile refleksyi, zagadywał się sam. Zmuszał się do patrzenia na coś ze skupioną uwagą, do czytania, do zajęcia się czemś, słowem, odwracał natychmiast własną uwagę od siebie. Dla Zosi była w nim wierność psa i zaślepienie fanatyka.

Gdyby mu kazała kraść, kradłby, bę-

dąc niesłychanie uczciwym i takim zostając. Było w nim niby rozdwojenie osobowości: on właściwy spopielił się i sztucznie przymarł, a ten drugi żył odruchowo, wpatrzony w nią.

Czasami zdawało mu się, że w tem wygaśnięciu wszystkiego, znikło nawet coś z miłości dla Zosi.

Zdawało mu się nieraz, że już jej nie kochał uczuciowo, że został w nim tylko, jakby olbrzymi histeryczny upór, przykućcie do niej.

Bywały dni, tygodnie całe, w których prawie jej nie pragnął. Zapomniał już, że mógłby ją chcieć. Był tylko jak ów zahypnotyzowany, któremu magnetyzer przykuje zwrok do jakiegoś przedmiotu i on musi iść za tem, patrzeć się na to, gotów łamać wszystko, byle nie stracić tego przedmiotu z przed oczu.

A bywało mu tak smutno, że nieraz chciał się zabić, ale sił nie miał po temu.

Był niezdolny do żadnego wysiłku woli.

Teraz cierpiał głucho, nie wiedząc dlaczego, bo skoro przypomniał sobie źródło bólu, odwracał myśl od tego i odsuwał od siebie to tępe szarpanie myśli, które nim owładnęło.

Opuścił ręce wzdłuż ciała i złamany, sponiewierany, siedział, w ciemni tego pokoju, samotny, choć tak jej blizki.

Patrzył na milczącą teraz Zosię i miał wrażenie, że mu serce zamiera w rozpacz bezgranicznej, która go gniotła, dławiała, unicestwiała.

Tonął w jakiejś szarzyźnie, która mu zalewała duszę brudem i nędzą, taką ohydłą, płaską nędzą zmarnowanego życia...

Z drugiego pokoju ozwały się nagle głosy dziecięce:

— Tatusiu! herbata!

Horn wstał i cicho, łagodnie rzekł do żony:

— Zosiu, chodź na herbatę...

I roztworzywszy drzwi, wyszedł.

III.

Godziny przyjęć kończyły się...

Wsunięty w głąb fotelu, Brzozowski w zamyśleniu bawił się onyksowym nożem do papieru, wpatrzony w opalowe, przelewne jego błyski.

Duża lampa z zielonym daszkiem rzucała światło na rozłożone na biurku papiery, pozostawiając pokój w półcieniu, w którym połyskiwały tylko szyby biblioteki, kanty złotych ram i głowa brązowej Diany; stojącej na wysokiej marmurowej kolumnie.

Było ciepło, cicho.

Brzozowski miał przed oczami scenę swej dzisiejszej, rannej u Zosi wizyty.

Mówiła tak dziwnie...

Tego co się dziać musiało w duszy Zosi, Brzozowski zupełnie nie rozumiał.

Wiedział, że jest kapryśną, zmienną, bardzo nerwową, ale nie do tego stopnia...

Kiedy przyszedł do niej rano, płakała, rzucała mu się na szyję, mówiąc, że jej życie zbrzydło, że w koło niej smutno, czarno...

Potem odrazu stała się wesołą, zalotną, dowcipkującą...

I nagle rzekła:

— Słuchaj, ty się musisz ożenić!...

Brzozowski, usłyszawszy te słowa, osłupiał...

W pierwszej chwili, przemknęło mu przez myśl, że zwarzjowała, ale ona jakby odgadując jego myśl, mówiła z uśmiechem:

— Nie, ja nie zwarzjowałam. Tylko widzisz tak: matka twoja i siostra chcą cię ożenić; jak tego nie zrobisz, prędzej czy później rozerwą nasz stosunek... A ja bym umarła... Zresztą, żebym ja mogła być ciągle z tobą, wszystkoby inaczej było, a tak to ty nie szanujesz zdrowia,

wracasz późno, pijesz, za dużo palisz, biegasz do tych tam... Więc tobie trzeba kogoś, co by dał ci dom, własny dom, kobietę, któraby cię kochała i opieką dobrą, kobiecą, otoczyła... Bo wy sobie gadajcie co chcecie, mówcie, że kobiety to słabsze istoty, niższe, a jednak dziećmi będąc potrzebujecie matek i nianiek, a jak dorośniecie, żony, no, albo takiej kochanki, co ją zastąpi... Ja nie mogę, bo mam własny dom, więc bierz żonę...

Brzozowski słuchał w milczeniu, czując jedno: że mu się jakaś furтка sama otwiera na zupełną wolność.

I w myśli powtarzał sobie:

— Dobrze, dobrze idzie! obserwując zarazem wyraz twarzy Zosi.

A ona mówiła dalej:

— A teraz powiedz, czy ty mnie kochasz? Bardzo kochasz?

Brzozowski wstał i odparł:

— Kocham, jak nigdy nie kochałem.

I zaraz pomyślał: »Skłamałem, bo jej wcale tak nie kocham«...

Pamięta jak jej oczy zamigotały, a potem łzy w nich zabłysły, wesoło jednak, swobodnie powiedziała na to:

— No to wiesz, kogo wziąć? Tylko Anię, ją jedną. Ania jest bogata, więc będziesz zupełnie niezależny, kocha cię, będzie dbać o ciebie, następnie nie jest ładna, więc się w niej nie zakochasz i będziesz mój, mój, — skończyła rzucając mu się na szyję.

Teraz siedząc u siebie, w ciszy tego dużego gabinetu Brzozowski myślał o Zosi.

Uczucie, które miał dla niej, paru już zmianom ulegało.

Z początku tylko pragnął jej, tak jak wielu innych kobiet pragnął.

Miewał wówczas napady szalonej zazdrości o Horna dopóki nie przekonał się, że od chwili poznania z nim Zosia Horna odsunęła zupełnie od siebie. Potem prawie przywiązał się, może przyzwyczyił tylko.

Te wielkie oczy Zosi, które z takim bezgranicznym uwielbieniem patrzyły, przy-

ciągnęły go. Dawniej myśl jego zwracała się nieustannie do niej, odczuwał jakby fizyczną potrzebę widzenia jej, słyszenia jej głosu.

Miał prawie pragnienie picia oddechu z jej ust.

Teraz godziny całe upływały, a on nie pamiętał o jej istnieniu, aż przychodziła zwyczajna chwila codziennego spotkania.

Nieraz czuł w sobie głuchą niechęć, złość niemal na myśl, że musi iść do niej, ale szedł tak jakoś, jak w porze obiadowej siadał do stołu, bez apetytu, z przyzwyczajenia.

Zresztą znał ją tak dobrze, wiedział doskonale jak kochać umie, nie miał więc w sobie ani ciekawości, ani zainteresowania dla niej.

Zesnuła się mu z szarzyzną bardzo zwykłych czynności życia, nie świeciła mu żadną odrębnością, tylko przeciwnie wtapiała się w to wszystko co było nudne i pospolite, co miał codzien, jak swe zajęcia, godziny przyjęć...

Czasami uczuwał nagle na myśl o niej jakieś roztkliwienie graniczące z chęcią opieki, otulenia, mówienia ojcowskich słów i napomnień...

Ale żaru w nim nie rozbudzała.

I myślał nieraz, że dobrze jest mu z Zosią, dobrze że ona jest na świecie, jak pewny, spokojny, cichy port, do którego mógł zawsze zawinąć.

Uczucie jego dla niej było spokojnem przyzwyczajeniem przez które przechodziły rzadkie dreszcze zmysłowych porywów.

To co w nim dla niej było, było niby fundamentem głęboko zapadłem jego uczuciowego światła.

Ale mógł zapalać się do wszystkich spotkanych kobiet i wtedy nie było w jego myśli Zosi.

Kiedy mu jednak powiedziała żeby się żenił, zrobiła mu poprostu przykrość.

Doznał jakby zawodu, ubodło go to powiedzenie dlatego, że nie znalazł w Zosi takiej potęgi zazdrości jaką w niej po-

dejrzywał. Więc zaczął jej tłumaczyć, że przecież małżeństwo zwiąże go nowymi węzłami codziennego życia z inną kobietą, oddali go od dzisiejszego stosunku z Zosią. A wtedy ona mu powiedziała, że z miłości dla niego, poświęci część swego szczęścia, byle go utrzymać przy sobie, gdyż jest pewną, że Ania nie zdoła go jej odebrać.

Wówczas opanowało go dobre, ciepłe, uczucie dumy zaspokojonej, a z nią prawie wdzięczność, która się uwidoczniła w objawach gorętszych uczuć, w nagłej potrzebie owładnięcią na nowo i silniej Zosią.

Był jakiś z siebie zadowolony, a jednocześnie mówił sobie w duchu: »czekaj, będziesz ty żałować, że za wiedzą twoją tyle chwil życia stracę przy innej«, i uśmiechał się do siebie na myśl o tych chwilach, które tracił przy innych bez wiedzy Zosi.

Brzozowski będąc dzieckiem nienawidził cieni, bał się ich i krzyczał gdy je zobaczył.

Idąc przez życie lubił tylko to co jasne i co zadawalnia egoistyczne popędy, nienawidził więc cieni życia, smutku, najdrobniejszych nawet przykrości. Często wolał ustąpić, zmienić bodaj przekonanie, istotnie czy pozornie, zrzec się wielu rzeczy, byle nie mieć chmur na swem niebie.

Dawniej o wszystkim co ważniejsze myślała za niego matka i siostra, potem przybyła jeszcze Zosia.

I było mu dobrze...

Czasami trwożył się na myśl czy ten stosunek z Zosią nie przyniesie mu z czasem jakichś zmartwień, ale wszystko składało się wybornie i Brzozowski szedł na przód, spijając lekką piankę życia bez troski i trudu.

Pocóż miał się żenić?

Pchała go do tego matka i siostra, no i to zrozumiały. Ale, ona, Zosia, kochanka?...

Przypomniał sobie Anię.

Wysoka, kształtna, bogata... nie ładna, ale miła.

Miała duże takie gazelowe oczy, tylko czasami ostre, aż ciemniały i były niezrozumiałe.

Lubił spokój i komfort.

Czy ona go da?

I pomyślał... tak!

Więc cóż szkodzi, że się ożeni?

Nie będzie jadał codzień w restauracyi, a to podobno żołądek psuje, w domu ład będzie, a przytem procent od kapitału, Ani, pozwoli mu żyć swobodniej.

Spojrzał na pliki aktów i wzdrygnął się. Nienawidził swego zajęcia.

Raziło to jego sybarytyzm. Brał różne sprawy, nieraz więc musiał jechać do więzienia, to znów wysłuchiwać długich opowiadań, o najokrutniejszej nędzy ludzkiej, o zawiedzionych nadziejach, wchłaniać całą ohydę rozpaczey beznadziejnej najbiedniejszych i wydziedziczonych. I ten brud, ta konieczność stykania się z otwartymi ranami społecznymi...

Jak się ożeni z Anią będzie prowadził tylko rozwodowe sprawy...

To ma swój czar.

Taki obrońca, to trochę spowiednik, no, a czasami jak ładna klientka, można... Ktoś zadzwonił.

— Czego chcą jeszcze?

Lokaj wszedł i cicho zaanonsował:

— Pan Horn!

— A!... proś, i wstawszy, poszedł Brzozowski na spotkanie gościa.

W stosunku do Horna od dawna już Brzozowski nic nie odczuwał.

Był z nim tak swobodny, jak z każdym innym. Poprostu nie przychodziło mu do głowy, że był winnym względem niego.

Spokój, Horna i to zamknięcie oczu na stosunek żony do Brzozowskiego, sprawiło że ten, teraz nawet bardzo lubił męża swej kochanki.

Często radził się go w różnych sprawach a parę razy zwierzył mu się ze swych przelotnych romansów.

Wówczas Horn stał się nagle złym, szorstkim i jakoś nieprzychylnie, ostro prawie, napominał go do ustatkowania.

Teraz wszedł uśmiechnięty i ściskając Brzozowskiego rzekł:

— Dlaczegoż ty nie przychodzisz? Zosia dopytuje się o ciebie, dzieci, Lusia codzień pyta...

Brzozowski spojrział na Horna. Zawsze mu się zdawało, że on trochę drwi sobie z niego, ale swobodnie odrzekł:

— Widzisz siedzę w domu jak borsuk... Mam masę roboty, a potem godzinami rozmyślam..

— No? naprawdę, cóż ci się stało, spytał Horn...

— A tak! Wszyscy żenią mnie na gwałt. Nawet twoja żona.

— Wiem, wiem... Mówiliśmy o tem. Tak, trzeba się raz ustalić, mieć swoje szczęście domowe, dodał Horn z goryczą.

Brzozowski zajęty swą myślą ciągnął dalej:

— Sam nie wiem co robić. Boję się trochę żenić.

— Ty! czego? Przecież nie dasz zdradzać się żonie.

Brzozowski znowu spojrział na Horna. Zauważył, że postarzał bardzo; jakiś wielki ból zmienił jego jasne oczy, czuć w nim było znużenie i przygnębienie.

— Czyś ty chory? Jakoś źle wyglądasz...

— Ja! Nie, nie jestem chory, tylko widzisz życie nie jest zabawną farsą. Czasami żyć to bardzo ciężki trud... Ale wracając do twoich spraw, moja rada, żeń się.

Umilkli.

Brzozowski widział się z Anią, starał się wyobrazić sobie jakby ją obejmował, jakby ją zachwycał i czarował sobą uczenie, powoli.

I podobało mu się to, prawie że pragnął tego.

A Hornowi raptem przeszła przez mózg myśl jedna:

— Po co ja sobie życie zmarnowałem.

Ale zaraz myśl tę odegnał i rozejrzał się wkoło...

Bezwiednie sięgnął po leżące na biurku książki, jedną wziął do ręki i przerzucać począł.

Brzozowski spojrział w tej chwili i rzekł:

— Coś ty nie czytał »Cyrano« Rostanda?

Horn podniósł głowę...

— Dlaczego?... czytałem...

— Bo przerzucasz tę książkę...

Horn spojrział na tytuł.

— A prawda! Nawet nie wiedziałem, że to biorę...

Brzozowski zapalił zagasłego papierosa i dodał:

— Nie lubię tej książki. Poza i frazesy. Ten Cyrano to niedołęga albo waryat. Zupełnie go nierozumiem.

Horn spuścił głowę i jakby do siebie rzekł:

— A ja rozumiem.

Umilkli znowu.

Brzozowski przypomniał sobie teraz historję poświęcenia Rostandowskiego bohatera i zdało mu się, że to podobne do historii Horna. To porównanie rozśmieszyło go, bo pomyślał, że Hornowi brakło tylko Cyranowskiego nosa. Obiecał sobie powiedzieć to jutro Zosi.

Stało mu się wesoło i swobodnie.

Nie widział, że Horn machinalnie przewracał kartki, jakiś bardzo blady.

Po chwili Brzozowski odezwał się:

— Więc jechać tam do Zaleskich?

— A jedź, zdaje się, że z oświadczeniami nie będziesz miał wiele roboty.

Brzozowski uśmiechnął się:

— No tak! Na Anię kiwnę i już jest...

Horn wstał. To go nagle rozgniewało. Ten Brzozowski taki pusty, taki samolubny ciągnął za sobą szeregi całe uczuć prawdziwych, deptąc po nich w pochodzie tryumfalnym swej nienasyconej ambicyi, dlatego tylko, że był piękny i postawny.

Zazdrość głucha, zła, zawrzała w Hornie.

W tej chwili nienawidził Brzozowskiego.

Ale w uspięonej, omdlałej jego duszy, wszystkie uczucia mogły błysnąć tylko, zawrzeć, ścichnąć natychmiast, jakby wchłonięte przez to sztuczne hamowanie, które się stało podstawą jego wewnętrznego życia...

Odrazu więc odwrócił swą myśl od głębin swej jaźni, jakby bojąc się patrzeć, tam, na dno swego sumienia i po chwili automatycznie, powierzchownie zaczął mówić dalej, bez trudu prawie, nie dając uczuć swych, ale logiczne myśli, które mu uczucia zastępowały.

I rzekł:

— Ty szczęśliwy jesteś. Do ciebie kobiety same lgną.

Brzozowski roześmiał się znowu.

— Bo ja widzisz nic sobie z nich nie robię. To stare ale prawdziwe. Tacy ludzie, którzy z kobiet robią coś nadzwyczajnego, jakies półbogi czy półanioly, nie mają nigdy szczęścia, A ja tak: nie ta, to inna i mam wiele chcę...

Horn spuścił głowę. Miał uczucie, że każde słowo Brzozowskiego biło go, policzkowało.

Spytał jednak:

— Czyś ty kiedy kochał naprawdę?...

Brzozowski odparł natychmiast:

— Naturalnie.

A pomyślał: »albo raz« ale urwał...

Horn wstał. Spojrzał na Brzozowskiego jak się patrzy na duże niesforne dziecko i czuł, że mu już przebaczył te pustotę.

Może on rzeczywiście kochał Zosię?

— No więc jedziesz?

— Pewno o ile te panie tu nie przyjadą. Jutro siostra powie mi co robić.

Horn nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

— Oj ty, stary dzieciaku. Ty nawet palcem sam ruszyć nie potrafisz.

Brzozowski szczerze śmiać się zaczął.

— Co chcesz, kobiety mnie wychowały, dla kobiet żyję i pewno przez kobiety zginę.

Horn spochmurniał nagle.

— Eh! nie, ty przez kobiety nie zginiiesz.

— Więc jak myślisz, żenić się czy nie, spytał się jeszcze Brzozowski.

— Ach nudzisz. Namawiam cię od godziny, wszyscy, ci to zresztą mówią. Wesoły, swobodny jesteś, dobrze się masz, życie

płynie ci bez troski, pokosztuj więc koniecznie tej rozkoszy i ożeń się, bezwarunkowożeń się.

I podawszy mu rękę, Horn wyszedł.

IV.

Oparta o balkon, Ania Zaleska, rozmawiała z przyjaciółką swą, Tomicką.

— Moja droga dzisiaj nie ma już tak naiwnych panien, jak sobie mamy nasze wyobrażają. Masz ty sama, możeś nie wiedziała przed ślubem, co twój narzeczony robił, robi i co będzie robił.

— Owszem, ale w każdym razie wiedziałam, że przed ślubem pozrywał wszystkie swoje stosunki... bardzo przelotne zresztą.

— Wolę, że on ma jeden taki stosunek niż sto przelotnych...

— Wiesz, że to niewiadomo co lepsze.

— A ja ci powiadam, że wolę tak jak jest. Lepszy jeden znany nieprzyja-

ciel, jak ukryta cała armia; zresztą, ja jego znam; on już jest znudzony.

Tomicka patrzyła teraz na przebiegającą ulicą powozy, na przechodniów, ale zdawała się nie widzieć ich, cała zajęta swą myślą.

Po chwili rzekła:

— Wiesz Aniu, podziwiam twoją odwagę. Wychodzić za mąż za człowieka z opinią pierwszego bałamuta i lekkomyślnika, nie dość tego, mającego taki stosunek i to od tyłu tat...

Ania roześmiała się:

— Nie powiem ci, żeby mnie to wszystko bardzo cieszyło, ale ja go kocham, rozumiesz kocham do szaleństwa!

Zacisnęła zęby, oczy jej nagle pociemniały; twarz przybrała skupiony, trochę twardego wyraz.

Na progu stanęła Zaleska, w szlafroku, z rękami opuszczonemi wzdłuż ciała, robiąc wrażenie starego księdza, ze swymi krótko ostrzyżonemi siwymi włosami i okrągłą tłustą, czerwoną twarzą.

— A ja taki nie dam ci wyjść za niego, kochanko, i basta. Zmarnuje ci posag bałamucić się będzie i ot co!

Ania odwróciła się i niecierpliwie, gniewnie odparła:

— Ale moja mamó, to nie mama wychodzi za mąż, a ja i wiem co robię, tak chcę i tak będzie.

Zaleska zwróciła się do Tomickiej:

— No, moja pani, widziała kiedy pani, taką córkę, coby tak do matki mówiła, a? Dobrze ci tak, za twoje podłości, niechaj on cię ukarze!

Tomicka, zażenowana, nie wiedziała co mówić.

— Już czy on mnie ukarze, to zobaczymy. A teraz niech mnie mama nie denerwuje tą gadaniną.

— Masz pani, gorzej sługi traktuje. Niechaj cię wszystkie jasne czorty porwą. A rób sobie, do djabła, jak chcesz! Co twoje oddam, ale z mego złamanego grosza nie dam, na miłosierdzie zapiszę, a zobaczymy, czy to się jemu spodoba. Ja tu

woli niemam. Żeby mój nieboszczyk mąż żył, toby ze schodów, przez hajduków, kazał zwalić takiego narzeczonego, ale ona mnie zakrzyczy, zawrzeszczy, a jeszcze ataku nerwów dostanie, i cicho, stul głowę, sza! No sza... to sza... ale pieniędzy nie dam.

— A to niech mama nie daje, tylko ja chcę spokoju, spokoju, bo zwarzuję, — krzyknęła Ania z rozpaczą.

— A nie warzuj, duszko niech cię djabli porwą, — i powoli Zaleska potoczyła się w głąb pokoju kiwając się całym ciałem.

Ania siadła, zakrywając twarz rękami.

— Masz, to przecie oszaleć można! Żeby krzyczała, gniewała się, no to nic. Ale taka tupa piła przez całe życie, tak powoli i tak dużo, ciepła woda łana w usta z wysokości drugiego piętra.

A ja wyjdę za niego, wyjdę bo tak chcę! — krzyknęła znowu zrywając się z krzesła.

Popatrzała na ulicę i po chwili rzekła:

— Wiesz, znasz mnie, ja zupełnie do-

bra jestem, cicha, spokojna, tylko z mamą nie mogę! Coś takiego dzieje się ze mną, jakby mnie nieustannie wściekłość porywała.

Tomicka odezwała się w końcu:

— No tak... pewno, ale co do Brzozowskiego, to mama ma trochę racji. Ty sobie z nim rady nie dasz i będziesz niešťliwą przez całe życie. Zresztą jesteś chyba zazdrosną o niego, więc...

— Ja? zdławiłabym tamtą — i oczy Ani zabłyśły. Ale ja go tak kocham, że muszę być z nim, muszę go mieć dla siebie, a potem zrobię swoje, zobaczysz. Niechno on będzie przy mnie, za resztę odpowiadam.

Tomicka ze smutkiem spojrzała na Anię, lubiła tę śmiałą i prawą dziewczynę; teraz porównywała w myśli jej zwyczajne, grube, nieregularne rysy z subtelnymi linjami twarzy Hornowej i powiedziała sobie, że walka będzie bardzo nierówną i trudną.

Ania mówiła dalej:

— Zresztą widzisz dla takich ludzi,

jak Brzozowski, kobieta nieświadoma życia, no wiesz... panna, która mu w ramiona dobrowolnie pójdzie, to ma swój urok specjalny...

— Zapewne, może... ale czy na długo?

Ania uśmiechnęła się:

— To dziwne, że ty tego nie rozumiesz. Prawda, tyś zawsze była tak spokojną, a twój mąż taki stary! Ale widzisz, trzeba umieć tak się dać zwyciężyć, żeby być zawsze... zwycięscą... A ja to potrafię. Bo pomyśl tylko: panna to nie mężatka, u której jest się drugim, jeżeli już nie trzecim. Jemu się spodoba, że on mi, jakby to powiedzieć, roztworzy oczy na życie. No, rozumiesz, mnie...

Tomicka patrzyła na nią:

— Skąd ci to wszystko do głowy przyszło? Ty się strasznie zmieniłaś!

Ania zaśmiała się znowu, a potem nagle ze smutkiem rzekła:

— A masz! zmieniłam się, przemyślałam dużo; jestem prawie zawsze sama, tam na wsi, nie mam do kogo słówka prze-

mówić, bo z mamą! -- machnęła ręką. —
Czytałam dużo. Sprowadziłam masę książek, no i wiem.

Tomicka odparła:

— A czy nie za dużo wiesz?

— Eh! dzisiaj nigdy nie wie się za dużo. Widzisz żebym była gąską, głupią, jak wszystkie inne, to dowiedziawszy się, że on ma kochankę, płakałabym, chorowałabym, otrujęm się może. A tak, znając mężczyzn, znając swoją siłę, idę poprostu do walki i zobaczymy kto silniejszy, czy dawna kochanka mająca troje dzieci i męża, czy młoda dziewczyna świeża, która z miłości rzuca mu się w ramiona i pragnie miłości.

Oparła głowę o framugę drzwi, przymknęła oczy; stała tak w blaskach zachodzącego słońca, cała złota, prawie ładna.

Tomicka spytała:

— A jakiż on jest?

Ania rzuciła się.

— On? cudowny, piękny jak bóg!

Tomicka uśmiechnęła się.

— No, to wiem, bo go znam przecie ale jaki on jest z tobą?

— On? Bo ja wiem? Tak jak gdyby był bardzo zakochany. On ma takie usposobienie; odkąd wie, że się ze mną ożeni, widzi we mnie wszystko cudowne, piękne, kocha mnie nawet, bo on nie lubi aby mu cośkolwiek sprawiło przykrość.

— Sybaryta...

— Ależ straszny! I to także moja wygrana.

Potrafię zawsze pogłaskać jego ambicję i egoizm, więc on będzie moim, tylko moim. A żebyś ty wiedziała jak on ze mną mówi! Nie! to oszaleć można! Jest w nim coś jakby obawa, taka niesłychana delikatność, jakaś dziwna uległość, a przecież, gdzie chce tam klękają przed nim.

— A po ślubie co ty z tamtą zrobisz?

— Ja? Nic. To on sam robi, nie wiedząc nawet kiedy. Widzisz on taki wygodnicki, że mu nie będzie się chciało kłamać, udawać, prowadzić podwójne ży-

cie; ja trochę pomogę i zostanie przy mnie.

— Ale Hornowa szaleje za nim. Pamiętam w przeszłym roku, na balu, kiedy on tańczył albo rozmawiał, ona bladła, zieleniała, a jak zaczął nadskakiwać Zielińskiej, Hornowa o mało nie zem-dlała...

— I posłała do niego tego idyotę swego męża. To wszystko nic nie znaczy.

Tomicka zebrała swą odwagę i odezwała się jeszcze.

— No dobrze, ale on nie postępuje uczciwie. Wszystkie te jego historye, te romanse nie świadczą dobrze o jego charakterze.

Ania zaczerwieniła się nagle i głośno zawołała:

— Słuchaj, żeby on był najpodlejszy, najgorszy, to mi wszystko jedno. Ja go kocham i wam do niego wara!... — krzyknęła ze złością.

Tomicka zerwała się i rzucając się na szyję Ani, zaczęła ją całować, mówiąc:

— Ależ przepraszam cię Aniu, ja tylko chciałam...

Na progu balkonu stanął Brzozowski i cicho spytał:

— Nie przeszkadzam?

Ania odwróciła się z radością:

— Ach to pan! — podała mu rękę, a on ją długo całował patrząc jej w oczy. Przywitał Tomicką, rzucając jej przeciągłe spojrzenie, ale ona natychmiast wstała mówiąc:

— Muszę z mamą twoją pomówić — i wyszła.

Zostali sami.

Ania patrzyła na Brzozowskiego, a on czuł, że gorące, pełne pragnień uczucie promienieje z tych dużych oczu Ani.

Po chwili rzekła.

— Muszę nieustanne walki o pana staczać!

Brzozowski szeptem prawie, potulnie jakoś spytał:

— Doprawdy, a z kimże pani wojuje?

— Z całym światem. Z mamą, z cio-

cią, z opiekunem, W tej chwili z Tomicką. Wszyscy mówią, że z pana straszny człowiek i... zupełnie nie mąż...

— Czy ja naprawdę taki zły, proszę powiedzieć, — cicho błagalnie i niby trwożliwie spytał Brzozowski, a oczy śmiało i nakazująco utkwiał w oczach Ani.

Zaczerwieniła się i biorąc jego rękę, rzekła:

— Czy ja wiem? Myślę, że nie! Ale widzi pan, ja nie jestem dzieckiem, wiem dużo, wiem wszystko — dodała z naciskiem — i wcale się nie dziwię, że ludzie, znając pana, odradzają mi. Żeby pan był zupełnie swobodny, bez żadnych zobowiązań, jak inni młodzi ludzie, ale pan...

Brzozowski przerwał i paląc ją spojrzeniem kończył.

— Ma jedno zobowiązanie: kochania pani...

Ją to niemile dotknęło, że tamtą miłość sponiewierał, zaprzeczając jej istnieniu; zamyśliła się, a potem:

— O wiele kobiety są od was lepsze. Nigdy kobieta nie zaprze się swej dawnej miłości. A wy jesteście nieuczciwi, każdej kobiecie mówicie, że ją jedną kochacie i kochaliście, a o dawnych odzywacie się z lekceważeniem. Ja naprzykład nie umiałabym tak profanować moich minionych uczuć. To zawsze trochę święte.

Brzozowski nie słuchał prawie jej słów. Było mu wszystko jedno co mówiła, patrzył w jej oczy, płynął wzrokiem po liniach jej ciała, czekając jednocześnie jakiegoś słowa, czy zdania, do którego mógłby pierwsze lepsze pytanie doczepić.

Spytał więc teraz:

— A pani miała takie minione uczucie?

Ania wstała i bardzo szczerze:

— Miałam jedno, od dwunastego roku życia: pana.

Brzozowski uczuł się bardzo dumnym i wprost szczęśliwym, Jakieś dobre ciepło, tkliwość, rozrzewnienie niemal zalało

mu duszę. Byłby utulił głowę na piersiach Ani i całował ją bez pamięci. Ale tylko wziął jej rękę i cisnąc do ust szeptał:

— Droga moja, droga.

Ona mu nagle wyrwała rękę:

— Niech pan nie kłamie! To wstrętne, teraz mnie tak pan mówi, a za godzinę powie pan to samo pani Hornowej.

Zatrzymała się nagle żalując tego wybuchu zazdrości.

Brzozowski spuścił głowę i bardzo cicho rzekł:

— Byłem szczery, nie kłamałem... Tamto przeszło jak zły sen. Dzisiaj tylko ciebie kocham, — dodał szeptem patrząc na nią.

W Ani zawrzało, gorąca fala krwi uderzyła do głowy; moc uczucia rozpierała jej piersi, tamowała oddech, biła żarem w duszy i wyciągając do niego ręce zawołała:

— Wierzę, wierzę, przepraszam, już nigdy nie będę. Ty będziesz tylko mój, prawda? niczyj tylko mój...

A on owładnięty, porwany, chwycił ją
w ramiona i całując w usta długo, na-
miętnie szeptał:

— Kocham, kocham...

I w tej chwili był bardzo szczerym...

V.

Zosia odchodziła od przytomności...

Wczoraj posłała jeszcze jeden list do Brzozowskiego, ale odpowiedzi nie było.

Służący powiedział, że pan wieczorem jest zawsze u narzeczonej i Zosia napróżno od dziesięciu dni czekała...

Tego ranka była niesłychanie zdenerwowana.

Miała od dni paru silne bicie serca, jakieś kurcze w gardle, i w szyi, coś w niej drżało, niepokojem dziwnym ją wstrząsając.

Wykrzyczała służkę i dzieci, teraz zaś posłała po męża do biura.

Chwilami chwytiała się za głowę; czuła w sobie tępy ból i szepcąc: »Boże, Boże,

co ja zrobię?«, wracała ciągle myślą do Brzozowskiego.

Każdym nerwem, każdą kroplą krwi wołała go do siebie, żar wielki zrywał ją do niego, a godziny oczekiwania, pełne wspomnień, wizji, niemocnej, bez nadziei rozpacz rozszarpały jej nerwy, rozstrajały ją coraz bardziej...

Nie przypuszczała, żeby ją przestał kochać, a raczej ta myśl nie przychodziła jej zupełnie do głowy, nie dopuszczała jej nawet.

Nawet próbowała tłómaczyć przed sobą samą postępowanie Brzozowskiego.

Sama popchnęła go do tych oświadczeń, no więc, rzecz prosta, musiał dla przyzwoitości przesiadywać u tej Ani.

Spotkała ją wczoraj.

Boże! jakaż ona brzydka!

A to jej okrycie, jak w Pacanowie robione.

Pomyślała jeszcze: »Biedny ten Henio!«
Zegar zaczął bić...

Uderzenia dzwonka padały wolne, po-

ważne, jęcząc echem, brząc bez końca...
jeszcze... jeszcze...

Dwunasta...

Zerwała się z kanapy...

Taki był w niej drżący niepokój, takie uciemnienie niepojęte!

Posłała przed godziną po męża...

Gniew nagły ją porwał.

— Dlaczego on nie przychodzi?!

Gotów nie zjawić się, bo ma robotę!

Ale niech spróbuje, ona go nauczy rozumu...

Podniecała się, złość w niej rosła, potężniała, warczała jej w piersiach szaleńcem...

I wtem to, co odsuwała od siebie, o czym myśleć sobie nie pozwalała, czego nie chciała przypuszczać, stanęło nagle przed nią, nieubłagane, okrutne...

— Henryk nie wróci...

Skończone...

Zaszlochała głośno, coś się łamało w niej, zapadało w jej duszy, krajało, gruchotało bólem piersi...

Łkała głośno, krzycząc prawie, a w my-

śli powtarzała jedno słowo: »skończone, skończone«...

I to słowo zdawało się rozsiekać jej życie na dwoje: za sobą czuła jasną przeszłość, a przed sobą widziała bezdenną, otchłanną pustkę, w którą czuła, że się zapaść musi...

I miała wprost fizyczne wrażenie takiego zapadania się...

Wiorem przez mózg jej przeleciały myśli oderwane, szybkie: zabić się, odebrać go, uciec i w tem padła na kolana, wołając głośno:

— Boże, Boże, zabierz mi dzieci, wszystkich, tylko mi jego zostaw; niech ja umrę, tylko jeszcze rok z nim, miesiąc, dzień jeden, ale z nim, z nim, bo bez niego żyć nie mogę... Boże, Boże, zlituj się nademną.

Drzwi roztworzyły się i Horn wszedł.

Staął jak wryty, skamieniały zdziwieniem w bólu nagłym, co szarpnął nim całym.

Zosia tarzała się na ziemi, łamiąc ręce, łkając strasznie z krzykiem nieustannym:

— Boże, Boże, co ja zrobiłam złego, Boże, zlituj się nademną...

Horn zrozumiał jedno: rozeszła się z »nim«, rozpacza.

Zaświtała mu jakaś dobra nadzieja, ale poczucie najsilniejsze, że jej źle, że cierpi — owładło nim.

Rzucił się do niej, porwał, uniósł, posadził na kanapie.

Osląbla, zsunęła mu się na ramię, na wół rozrzucone włosy spadły jej na twarz, od łez mokrą, którą do jego nieogolonego, szorstkiego przytuliła policzka i płakała cicho, zanosząc się czasami, jak dziecko.

W nim roztajało ogromne łzawe roztkliwienie; objął ją śmieiej, przylgnął do niej...

W niej łkanie cichło, słabło, przeszło w milczący potok łez które płynęły po jego rękach.

Czuł, że płacze przez »tamtego« a ta niemoc i nędza w jakiej był pogrążony opanowały go znowu silniej.

Teraz przy niej, mając ją tak przy sobie, nic z niej nie miał dla siebie.

Łzy popłynęły mu z oczów i w ciszy tego pokoju, przytuleni do siebie, a jednak tak dalecy sobie, zmieszali łzy swe, w rozpacznych łkaniach, co im serca rwały.

Ona rękę podniosła i zarzuciła mu na szyję, szepcząc cichutko:

— Jaka ja nieszczęśliwa, jaka nieszczęśliwa, o mój Boże, mój Boże!

A w nim znowu zaświtało jaśnienie i chęć powstała tak śmiała, nieodczepna, głuszona od tylu czasu: te usta, te oczy całować, całować, zjadać pocałunkami, wpijać się w nie głodnemi wargami.

Ale ona zerwała się, jakby zbudzona nagle, prawie zawstydzona tem zbliżeniem się do niego.

I on wstał, szybko otarł łzy, niezgrabny, nagle onieśmielony, niewiedząc co mówić, zaczął machinalnie strzepywać kurz z poręczy pluszowej krzesła.

Ona spojrzała na niego pytająco nie

mogąc przypomnieć sobie po co go wzywała, a potem nagle złym, cierpkim tonem zawołała:

— Pociś ty przylazł? Kto cię tu wołał? Po co ty do mnie wchodzisz, kiedy cię nie wołam? Dlaczego ty nie w biurze?

On stał jak uczeń strofowany, zaczerwieniony, niezręczny, oszołomiony temi sprzecznościami uczuć, czując tylko w duszy ogromny nad siły wielki żal i zapytując się w sobie: co jej jest, czego ona chce?

Odezwał się wreszcie cicho:

— Józka przyleciała do biura, że wołasz mnie, więc zaraz przyszedłem.

Zosia siadła ukrywając twarz w dłoniach i po chwili odparła:

— Ach tak, przepraszam cię. Tak, tak posyłałam po ciebie... prawda... prawda...

Mówiła jak nieprzytomna, czując pustkę w mózgu, niemoc skupienia się, chwytając z wysiłkiem myśli, które błędziły zatrzymując jej uwagę na krzesłach, rozrzuconych po pokoju, na tekach z rysunkami, walających się pod ścianami.

Miała uczucie wielkiego ucisku pod czaszką i drżała na całym ciele.

Aż coś ją szarpnęło silniejszym bólem jakby jej serce ktoś ścisnął i w myśli stanął Brzozowski, w jasnym świetle, w promieniu słońca, na jakiejś nigdy nie widzianej ulicy, wiosną, wśród drzew rozkwitłych...

I przypomniała sobie... Znowu łzy popłynęły po twarzy, ale ciche, spokojniejsze.

Horn stał nieruchomy, tylko dusza rwała się w nim ku niej.

Pragnąłby tak pocieszyć ją, zbliżyć się do niej, wejść w jej skryte życie duchowe.

Aż ona rzekła:

— Słuchaj, tyś taki dobry...

On drgnął, przeczuł jakieś ubliżenie.

— Ty pójdziesz do... no dobrze?...

Zerwała się, objęła go rękami za szyję, kryjąc zapłakaną twarz na jego piersi.

A potem mówiła:

— Powiedz mu żeby przyszedł, że ja

go bardzo, bardzo proszę, że ty go prosisz, że ja chcę się z nim zobaczyć, że Lunia...

Spostrzegła się, że źle mówi i poprawiała:

— ...dzieci tęsknią za nim. Pójdiesz—
prawda?

Byłby dał życie całe za możliwość odęgnięcia jej od siebie, oplwania, za siłę któraby mu dała bić ją, sponiewierać, a tymczasem wtulał się w jej objęcia, zamykał oczy, krew zalewała mu mózg, dudniła w żyłach gorączką, nie mógł mówić nic... nic...

Po przez firanki zajrzało słońce, jasnym promieniem ozłociło głowę Zosi, rozbłysło iskrzącą gwiazdą w przycisku na biurku i rozlało się ciepłą wesołością po pokoju drząc w słupach migotliwego kurzu.

Stało się odświętnie, dobrze.

Zosia odsunęła głowę, kryjąc się w cieniu poduszki rzuconej na kanapie.

Horn oślepiiony blaskiem, podniósł głowę.

Drżał cały, oddychał ciężko, zaciskał zęby.

Spojrzał w koło siebie, wzrok jego zatrzymał się na podłodze pod piecem; snuły się tam pajęczyny i kłęby kurzu, jeszcze wyraźniejsze w jaśnieniu złotem, które cały pokój zalało.

Żądza, nienasycone pragnienie, złość, zawiść, wszystko co się w nim burzyło, wzbrało nagle w wybuchu gniewu i ryknął:

— Bodaj wszyscy dyabli wzięli z tym niechlustwem! Tu jak w chlewie wygląda.

Zosia podniosła raptem głowę.

Od czasu jak znała Horna pierwszy raz coś podobnego słyszała.

Zjadliwa złość wstrząsnęła nią odrazu, ale w tem te słowa przyniosły jej na myśl podobne zdanie Brzozowskiego, i jakimś wewnętrznym wzrokiem rzuciła się ku temu dalekiemu najdroższemu i cicho szepnęła:

— Nie gniewaj się mój drogi...

Horn, który w chwilę po wybuchu, miał

jedną tylko myśl »Boże, co to teraz będzie!« usłyszawszy te pokorne słowa Zosi, padł na kolana i całując jej suknię przyciskając twarz do jej nóg, szeptał:

— Moja, jedyna, droga, ukochana, przebacz, nie gniewaj się, ja niewiem co się ze mną stało...

Ona podchwyciła tę jego egzaltację, oparła obie ręce mu na głowie, twarz swą na nich położyła i mówiła:

— Nie gniewam się, tylko mi smutno, tak strasznie smutno.

I łza stoczyła się z jej powiek.

Horn podniósł głowę i spytał szybko:

— No powiedz, moja najdroższa, co ci dać, czegośby ty chciała, wszystko zrobię co zechcesz.

— Zrobisz, naprawdę?

— Jak ciebie kocham, jak dzieci kocham zrobię.

— To idź do niego, słyszysz, ja cię proszę — i Zosia chwyciła rękę Horna, jakby do ust chcąc podnieść.

On wyrwał rękę, wołając:

— Co ty robisz, Zosiu, i — schwyciwszy obie jej ręce, całował je raz po raz a wreszcie wziął kapelusz i dodał — bądź spokojna, moje szczęście, już idę, idę...

Włożył palto, kapelusz, i szybko zbiegł ze schodów.

Owiało go dobre, ciepłe powietrze.

Wskoczył do doróżki, dał adres Brzozowskiego.

— Co ja robię, co ja robię!...

Zatrzymać doróżkę, wybiedz z niej i uciekać, przed siebie, w ten barwny tłum, co się snuł po ulicach.

Nie mógł jednak ani zawołać, ani zrobić coś takiego coby powstrzymało pierwszy rozkaz.

Niosła go jakaś fatalna siła, która mu wolę unicestwiała, rozpraszała, nie dozwalała skupić się i chcieć.

Było w nim jakieś kamienne rozleniwienie, nawet ruszyć się nie mógł.

Jechał.

Przez mózg jego myśli leciały wirem,

chaosem, aż czuł, że wymachuje rękami, towarzysząc tymi ruchami ich nagłości.

A myślał ciągle w głębi ducha:

— Jaki ja podły, co ja robię...

Ale siedział w unieruchomieniu woli, a dorożka wiozła go dalej, coraz bliżej z nieubłaganą koniecznością końca.

Gdzieś w głębi jego duszy toczyła się wielka walka, on ją czuł w sobie, ale ją tłumił, gasił i do świadomości swej dopuszczał tylko takie myślowe skojarzenia:

— Co za podłość, po co ja to robię.

Wtem nagle, coś załaskotało piekącym niepokojem pod sercem, rzucił się i głośno zawołał:

— Nie pójdę!

Dorożkarz obejrzał się i spytał: .

— Co pan mówi!

Horn nagle uspokoił się.

— Jedź dalej...

Przed domem Brzozowskiego stała jakaś karetka.

Dorożkarz zawołał na stangreta:

— Odjeżdżaj!

Tamten powoli, prawie nie patrząc na niego, ściągnął konie, osadził na zadach cofnął nieco, a konie parskając, rzucać się zaczęły.

Horn wysiadł.

Wyjął pieniądze, uważnie wybrał drobne, zapłacił i wszedł do bramy.

Na schodach minęła go jakaś woniejąca pani ogromnie rozśmiana, obok której szedł prędko młody, wysoki blondyn, z podkręconymi wąsami.

Za tą wesołą parą powoli, trzymając się poręczy, schodził gruby pan z czerwonym karkiem, obracając w ustach cygaro.

Przeszli koło Horna, a on przypomniawszy sobie ich nazwiska i stosunek, znany w świecie, ładnego blondyna do pachnącej pani, rzucił przez zęby z oburzeniem:

— A świnię!

I zadzwonił do Brzozowskiego.

Kiedy Horn wszedł do sypialnego pokoju Henryka, ten stał przed lustrem, wiążąc krawat.

— Jak się masz! Co się z tobą dzieje. Czekał zaraz się z tobą przywitam, tylko ten szelma krawat nie chce mi się zawiązać.

Założył szpilkę, poprawił sfałdowania i odwracając się rzekł z uśmiechem:

— No gotowe. Cóż dobrego? Jak się masz?

— Jak zawsze.

I Horn siadł.

W tej chwili nie odczuwał nic przykrego.

Rozglądał się po pokoju i odezwał się:

— Wiesz, że ty masz kobiecą toaletę. Co ty przyrządów jakichś używasz?

Wziął do ręki dwa małe krzywe grzebiczki.

— Do czego to?

— Do wąsów, pod binde...

— Ja tam nie używam tego nigdy, o tak palcami do góry, — przeciągnął po wąsach nastraszając je do góry — czasami trochę węgierskiej pomady...

Brzozowski roześmiał się.

— Ależ daj spokój. To szewcy na niedzielę łojem się smarują.

Horn spojrział na rozłożone na łóżku ubranie, lśniące odwrócone jedwabną podszewką i wzrok jego padł na stoliczek przy łóżku.

Stały tam dwie fotografie.

Horn wstał i przyjrzał się.

W jednakowych ramkach były tam fotografie Luni i Ani.

Horna gniew opanował nagły, dziki.

Popchnął fotografię Ani, aż upadła na ziemię.

Brzozowski ze szczotką od włosów w rękę, odwrócił się:

— Co ty tam rozbijasz?

Horn podniósł fotografię, położył ją, na stoliku i głucho rzekł:

— Słuchaj, przyjechałem po ciebie; ty musisz do nas przyjść.

Zapanowało milczenie.

Brzozowski strzepywał pył z krawatu, nie wiedząc co mówić, a w myśli pytał siebie:

— Czy on idyota, czy taki bezczelny...

Horn miał wrażenie, że padły jakieś straszne wyrazy co miały olbrzymią wagę. Niemal widział te słowa rosnące w przestrzeni, potworne, ohydne.

Cofnąłby je chciał i nie mógł. Potem wystąpił na czoło, miał w ręku kapelusz, zaciskał zęby, potem rozlał się w nim ogromny żal nad sobą, taki łzawy smutek, w którym zapomniał co zrobił, a tylko było mu żal, jednocześnie zaś rozżarzyła się nienawiść śmiertelna do tego Brzozowskiego, który lśnił przed nim w słońcu, jasnością swej białej połyskliwej koszuli.

W końcu Brzozowski, nie patrząc na Horna, rzekł:

— Dobrze przyjadę.

— Ale dzisiaj?

— Dzisiaj.

Horn wstał, roztworzył usta, jakby coś chciał powiedzieć i nagle łzy zadławiły go w gardle, machnął ręką i uciekł.

Brzozowski został na środku pokoju

i zły na Zosię, mruknął przez zęby, ze
szczerym żalem:

— Co to bydlę zrobiło z tym czło-
wiekiem!

VI.

W dużej sali wystawy było niemal pusto. Jak płachty kolorowe, barwiły się obrazy w złotym obrzeżeniu ram, pod nieco ostrym światłem, wlewającym się z góry, poprzez szklany dach, wpływając okręgiem ścian, bijąc tylko w obrazy a w środku sali panował przycień, od wielkiego baldachimu co szeroki i ciężki rozpostarł swe cielsko ciemne, stożkowate.

Na kanapach, tyłem do siebie stojących, dwie osoby siedziały rozmawiając z cicha.

Południowe światło wlewało się tu potokiem weselnym jasności, rozświecając krwawizny jakiejs łuny pożarnej, wśród której zwijali się rajtary o skrzydlatych kapeluszach, tam znów rozniebieszczając

nastrój szukany księżycowej nocy, pod który delikatną tonacją, rozplýwał się jakiś miękki, puszysty pastel...

Zosia weszła wolno, rozglądając się wkoło.

Ubierała się długo i niecierpliwie, chciała być dzisiaj piękną, bardzo piękną. Delikatny jej profil Lawrencetowską linią odbijał od podniesionego ronda czarnego, wielkiego kapelusza z dużemi, zwiesistemi piórami, stykając się z jedwabistem, lekkim boa, co węzem gazy i illuzyi owiał jej biust i szyję.

Tylko gorączkowe miała wypieki i drżenie febryczne w sobie.

Podeszła do kanapki i siadła.

Wzrok jej padł na płótna, wiszące przed nią.

Mimowoli zainteresowała się.

Był w niej kult sztuki, takie ukochanie linii i tonów, że obraz czarował ją głębią kolorytu, lub wytwornością rysunku, nęcił plamą, bez względu na fabułę i treść.

Jeden obraz przykuł jej wzrok.

Wpatrzyła się w senną tafłę wody, nad którą wznosił się kopiec złotawy siana. W wodzie odbijało się niebieskie, czyste niebo i pierwsze przedzachodowe różowawe chmurki. Na kopcu stał długonogi bocian, zadumany, spokojny, tak dziwnie smętny w tym cichym krajobrazie, w którym wszystko do wieczornego układało się spoczynku, w milknącym rechotaniu żab w moczarach, w ostatnich pośpiewach ptasząt, w słodkich, ciepłych tchnieniach wiatru, w zapachu siana, w ciszy sennej, przerywanej tylko monotonnym świstem świerszczów.

Ogromne rozręsknienie wlewało się w duszę Zosi, zwilgotniały jej rzęsy, jakiś przełom działał się w niej teraz.

Coś w niej tajało, rozplýwało się w zrezygnowany smutek, w wielkie uczucie znużenia i chęć spokoju, ciszy, końca tych wszystkich moralnych szamotań i walk.

Rozpląwiła się w niej nostalgia takiej

przedwieczorni letniej, jakiegoś osamotnienia, pustki dalekiej, bezludnej...

I po raz pierwszy zapragnęła być samą, tylko samą, w takiej głuszy, żeby własnego nawet słowa nie słyszeć.

Para siedząca za nią wstała i wyszła z sali.

Została sama.

Od obrazu pachniało sianem, szedł lekki, świeży wietrzyk...

Zosia przypomniała sobie taką godzinę, w Olękach nad jeziorem, w zarośli leśnej, gdzie tak wysoko w niebo strzelały zszarpane szczyty sosen, a poprzez rude ich pnie, gorzały łuny zachodu, krwawiąc wodę, u brzegu sitowiem zarosłą.

Było chłodno i Brzozowski zarzucił na nią swe palto, objął ją w pól, a ona grzała się o niego tuląc głowę do jego piersi, zamknawszy oczy muskane tylko wietrzykiem, który jej włosy rozwiewał, obsypując nimi jak złotą pianą twarz Brzozowskiego.

Przymknęła oczy, jak wtenczas.

I teraz rozstętnił się w niej nagły ból. Zaraz, za chwilę, przyjdzie *tamta*, ta która odbierze jej Henryka, ogarnie całego dla siebie. I on będzie z nią przez całe dni, razem, nieustannie razem; w życiu Brzozowskiego *tamta* będzie pierwszą, będzie wypełnieniem życia, a ona tylko dodatkiem, drugą, przelotną chwilą...

Poco go namawiała, poco?

Obrazy zaczęły wirować przed jej oczami pełnymi łez, ramy pobłyskiwały długimi promieniami, co się dłużyły i kurczyły naprzemian.

Czuła w sobie jakieś bolesne unicestwienie, wielką niemoc i bezgraniczny, niepokojący żal.

Spuściła głowę, zamknęła znów oczy...

— A ja ci powiadam, że za taką malowaną krowę pięćset rubli, to czort wie co takiego! Nu, żeby choć żywa i dojna, ale tak...

Do sali weszła Zaleska z Anią i Brzozowskim. Zaleska, w jakimś nieokreślonego kształtu kapeluszu, z długimi wstąż-

kami, pod brodą na wielki węzeł zawiązanemi, w wyrudziałej, aksamitnej mantylce z frędzelkami, szła, z opuszczonemi, za krótkimi rękami, głośno mówiąc.

Ania spojrzała na Zosię i zatrzymała się, w tej chwili ujrzał ją Brzozowski i kłaniając się nisko podszedł zaraz z Anią do niej.

— Moje uszanowanie pani... Panie się nie znają. Moja narzeczona... pani...

— Ależ my się znamy doskonale! — przerwała Ania, mocno dłoń Zosi ścisnąc.

Zosia podała rękę swobodnie bez przymusu i odrzekła zaraz:

— O tak! ale dawno już nie widzieliśmy się.

— Mama pani, prawda? — dodała, głową wskazując na Zaleską, stojącą w rogu sali przed jakimś obrazem.

— Tak. Mamo! — zawołała Ania.

Zaleska przytoczyła się, chwiejąc miarowo.

— Pani Horn — moja matka...

— A to pani? Nasłyszala się ja o pani!
Pana Henryka pani przyjaciółka, co? —
z pewną ironią spytała Zaleska.

Zosia spokojnie odparła:

— Tak pani, mój mąż i ja od dawna
szczeremi jesteśmy przyjaciółmi pana Hen-
ryka i z tej racji, pozwoli pani złożyć
sobie najserdeczniejsze moje życzenia, do-
dała, zwracając się do Ani.

Zaleska uśmiechnęła się i patrząc jak
Ania dziękuje, mruknęła z cicha:

— No tak, mąż to może być kontent,
ale ciebie duszko, to wątróbka co boli,
to boli...

I podreptała dalej oglądać obrazy.

A w uszach Zosi dźwięczały jeszcze
jej własne słowa i nie mogła uwierzyć,
że to ona je wymówiła...

Była oszołomiona sama sobą.

Nie mogła pojąć co się w niej stało.

Czekała bólu strasznego, krającego, ja-
kiegoś ogromnego wstrząśnienia, a tym-
czasem nie odczuła nic, poprostu nic...

Było jej w mózgu ogromnie jasno,

przejrzycie, wiedziała doskonale, że to jest ta Ania, ta przyszła żona jej Henryka i nie gniewało ją to wcale, nie dotykało zupełnie.

Szukała w sobie bólu, jakiegoś wrażenia; było nic, tylko zimno i obojętność.

Przebiegła ją myśl dziwna, aż śmieszna: »może ona niekocha Brzozowskiego?« Przeraziła się tą myślą.

Wgłębiła się w siebie, chciała wyczuć tę miłość, mówiła sobie: »Henryk mój, Henryk, najdroższy mój«, myślała, że to ją rozczuli a czuła jednak że to są tylko słowa.

Coś w niej zgasło, zgłuszyło się nagle, zaćmiło. Nie czuła nic i była ogromnie swobodną i spokojną.

Z uśmiechem rzekła:

— Tak chciałam panią zobaczyć, że dowiedziałam się od pana Henryka kiedy panie tu będą i przyszłam.

Brzozowski zaniepokoił się bardzo, spojrzawszy przelotnie na Anię i chcąc uwagę jej odwrócić zaczął mówić:

— Możebyśmy poszli do tamtej sali, tam jest...

Ale Ania spojrzała mu w oczy pytająco, a on wtedy nie wiedząc co powiedzieć, zaczął się jąkać:

— To jest... ja... mówiłem, że my będziemy na wystawie, że może panie...

Zosia rozśmiała się serdecznie, uważając, że nie ma powodu być nieszczerą.

— Ależ o co panu chodzi? Prosiłam przecie pana, żeby Pan z paniami tu przyszedł i sama zjawiłam się, bo jakże inaczej byłabym panią zobaczyła?

Anię te słowa zmieszały.

Zdawało jej się, że ten wesoły prawie wzrok Zosi ślizga się po niej z ironią, z tryumfem drwiąc z jej brzydoty, że ona ją wyzywa. Złość zamigotała w niej.

Spojrzała na Brzozowskiego ze zniecierpliwieniem, z żalem, że sprowadził ją tutaj na pokaz swej kochance.

A Zosia mówiła znowu:

— Obejrzały panie wszystkie salony? Ja tu z pół godziny nad tą wodą stoję.

Brzozowski spojrział na nią. Nie mógł pojąć co się z nią stało.

Bał się tego spotkania, spodziewał się że będzie rozdrażnioną, że nie będzie mogła panować nad sobą... a ona tymczasem była tak spokojną, jakby ją to zupełnie nie obchodziło.

Patrzył też na Anię z niepokojem coraz większym. Co ona sobie o nim myśli! Ta Zosia niby go tak kocha, a teraz jakby ją to małżeństwo cieszyło jeszcze. Znów zwrócił się do Zosi.

Prześlicznie wyglądała, taka subtelna dystyngowana, spojrział na nią długo, czule...

Może ją to wzruszy.

Ale ona przyjęła spokojnie, obojętnie, jakby to nie on patrzył.

Rozmawiała z Anią. Brzozowski podszedł bliżej. Teraz Ania mówiła:

— Parę dni temu, w teatrze zdawało mi się, że panią zobaczyłam, upierałam się, chociaż pan Henryk utrzymywał że to nie pani, w końcu założyłam się.

i... przegrałam — dodała spoglądając w oczy Brzozowskiemu.

On nachylił się zaraz i coś cicho jej na ucho powiedział.

Ania zaczerwieniła się i roześmiała. Zosia uśmiechnęła się także, sama nie wiedząc dlaczego. Nic ją to nie bolało.

Ale Brzozowski spojrzał na nią i lekając się mimo jej pozornego spokoju jakiegoś wybuchu, rozmawiać z nią począł, magnetyzując ją długimi, głębokimi spojrzeniami, które co chwila na Anię przenosił, tracąc głowę, nie wiedząc którą się zająć. W tej chwili przeklinał w duszy, że się dał namówić Zosi na to spotkanie.

Ale Zosia odeszła z Anią i stanęły przed jakimś obrazem.

Ania chcąc coś powiedzieć odezwała się:

— Pani maluje, prawda?

— Tak trochę, ale lubię ogromnie tę pracę. Przy tem o wszystkim zapomina się.

Ania wysilała się, żeby mówić. Wolałaby milczeć, uciec stąd.

Patrzyła na Zosię i ogarniało ją znowu uczucie zazdrości, żalu i zaciekawienia zarazem. Więc te usta całował Brzozowski, i ona drżała pod jego uściskiem, pragnęła go, żyła myślą o nim, ma w myśli swej wspomnienia tylu wspólnych chwil... A teraz, ona, Ania, wejdzie między nich jak ostry, zły, błyszczący nóż i odetnie jej duszę od niego.

A w sobie czuła jakąś pewność zwycięstwa niechybnego...

I ta pewność budziła w niej zlitowanie. Patrzyła na Zosię i nagle rozczulenie owładnęło nią teraz, zazdrość gasła w niej, wzrastało przykre uczucie winy względem Zosi i prąd sympatii niejasnej pchał ją ku niej.

Chciała jej powiedzieć coś bardzo serdecznego, miała uczucie dobrego zwycięscy dla nieszczęśliwego pokonanego.

Brzozowski zbliżył się w tej chwili i spojrzał w oczy Ani, uśmiechając się z kocim przymileniem.

Ale Anią wstrząsnęła nieświadoma do niego odraza. Potem zaczęła mówić gorączkowo, szybko, przechodząc z przedmiotu na przedmiot. Mówiła z ożywieniem, opowiadała o wsi, o koniach swych, ale po chwili sama, mówiąc słyszała swój głos, dźwięczący w przestrzeni, mówiła, mając w sobie wołanie natrętne, nieustanne, w które się z trwogą wsłuchiwała:

»Ta Hornowa taka piękna, delikatna, taka ogromnie kobieca, nie odda Brzozowskiego, zatrzyma go swym wdziękiem przy sobie«.

I w Ani rósł żal, ściskający gardło tłumionymi łzami, ból beznadziejny, taka czarna chwila, w której coś kurczy twarz do płaczu, a w duszy jest tylko niepokój i głucha przykrość. Zosia stała zapatrzona w jakiś zarosły staw cichy i spokojny, który się kończył nagle krzyżującym blaskiem złotej ramy i myślała słuchając słów Ani, że się w niej coś niepojętego dzieje. Starła się wyszukać

w sobie żal, rozpacz; nie odnajdowała niczego.

Zmarzła w niej dusza. Skamieniała w sobie i była jak głaz, pomimo wysiłków żeby cierpieć.

Mogła rozmawiać swobodnie z jakimś nerwowym humorem, który nie był jej jednak miłym.

Brzozowski zły, coraz więcej rozdrażniony, bał się mówić już z Zosią. Nie mógł pojąć co się z nią działo.

Chciał przymilaniem się do Ani obudzić jej zazdrość, ale Ania cierpko i niecierpliwie mu odpowiadała, zresztą bał się Zosi i jej nerwowych wybuchów.

W końcu był tak zmęczonym, że zrezygnował z wszelkich wysiłków, poszedł za Zaleską i stanął przy niej, prawiąc jej grzeczności, rzucając spojrzenia na jakąś chudą panienkę w pomiętym kapeluszu, która siedziała w drugim końcu sali, spoglądając od czasu do czasu na niego.

Zosia usiadła wraz z Anią na kanapie i mówiły, aby coś mówić.

Jakaś wysoka, bardzo szumiąca jedwabiem pani przeszła z dziewczynką w wielkim białym kapeluszu.

Ania spojrzała na dziecko i zawołała:

— Ach jaka śliczna dziewczynka.

Zosia odrzekła:

— Owszem ładna... Pani lubi dzieci?

— Przepadam za dziećmi. Na wsi urządziłam sobie rodzaj szkoły freblowskiej... Pani musi kochać bardzo swoje dzieci?

— Ja?... Kocham!

— Jakie to szczęście mieć dzieci...

— Szczęście? Może... więcej kłopotu jak szczęścia. To takie głupie i nieznośne dzieci.

Ania zdziwiła się.

— Tak? A ja takbym pragnęła mieć dzieci.

Zosia zamyśliła się.

— Owszem, to dobrze mieć dzieci, ale gdy się bardzo kocha męża.

— Ja mego będę bardzo kochać.

— O tego jestem pewną.

Zamilkły.

W Zosię wstępował jakiś żal, swoboda
nikła, było jej coraz smutniej.

Rzekła po chwili:

— Jakie to wszystko nędzne w tem
naszem życiu. Takie z daleka piękne, a jak
się w to wejdzie, to tak jak z najpię-
kniejszymi krajobrazami, z daleka czaro-
dziejska panorama, u przyjechać blisko,
brudne chatki, śmiecie, takie same drzewa
jak gdzieindziej...

Wstała. Ogarniało ją zdenerwowanie
drżące. Ania powoli podniosła się.

— Wie pani, mnie się zdaje że mi-
łość wszystko zapłaci, wszystko.

— Miłość! Także ogląda ją pani z da-
leka. I mnie się kiedyś zdawało, że to
będzie takie białe anielskie skrzydło, pod
które schowam się, i wszystko co złe,
co drażni, usunie się odemnie. A tymcza-
sem miłość to ciągle rozczarowanie, a ra-
czej nieustanne walki z własną duszą
i czyjąś duszą, której nigdy przeniknąć
nie można.

Szczerście to powinno być w spokoju, a ładny spokój w miłości.

Roześmiała się, ale łzy miała w głosie.

Zalewska wracała do sali z Brzozowskim, który zobaczywszy błyszczące oczy Zosi, zaniepokoił się znowu.

— Nu kochańko, trzeba iść, jeszcze na miasto pojechać muszę — i, zwracając się do Zosi, Zaleska dodała: — Przyjemnie było poznać, a może pani zajdzie kiedy do Ani, ja, co tam, proszę, podała jej rękę, zawróciła się i poszła ku wyjściu.

Ania żegnając się z Zosią, powtórzyła prośbę matki.

Po chwili wyszła w szeleście jedwabi z Brzozowskim, pochylonym ku niej.

Zosia stała nieruchoma, słuchając ich ginących w dali głosów.

Ten spokój, który w niej był, znikł nagle. Fala dławiąca bólu zalała jej duszę, chciałaby krzyknąć, wic się z rozpaczy.

Była jednym wielkiem cierpieniem...

Szalone pragnienie ujrzenia Henryka, zawiść, żal do tej Ani, wszystko to wirowało w jej mózgu. Teraz rzuciłaby się na nią i zdławiła w nienawiści okrutnej, nieubłaganej.

A potem całe to skotłowanie uczuć, rozplynęło się w ogromny, smutny, beznadziejny żal, w taką ciemnię duszy, dla której na zawsze słońca pogasły.

Stała sama w pustej sali, wśród obrazów, co na nią wszystkimi tonami tęczy patrzyły, w tej złotej jasności, bijącej z szyb sufitu i czuła że coś, jakiś największy odłam jej życia odszedł od niej, uciekł, aby nigdy nie wrócić.

Łzy zwilżyły jej puszyste boja i schowała w nim twarz, cała drżąca, jak biedny, mały, zraniony ptak...

VII.

»Entliczek, pętliczek,

»Czerwony stoliczek,

»Na kogo wypadnie

»Na tego samego

»Pana... brzdęk... i głośno krzyknąwszy, Dziutek odepchnął Wackę, stróżową córkę i zaczął uciekać. A ona puściła się za nim i biegli tak wokoło zielonych sztachetów klombiku zajmującego środek dziedzińca.

Za Wacką biegła jej siostra Andzia, kołysząc się na swych krótkich nóżkach, zatrzymując się co chwila, aby podnieść opadające pończoszki... Koło wodociągu, z którego nieustannie drobnym strumykiem płynęła woda, siedziało kilkoro in-

nych dzieci, pluskając się w wodzie nabranej do szaflika. Dziutek dopadł do nich, wrzeszcząc »czarny lud«, a za nim rozbiegli się malcy, to podskakując i przysiadając na ziemi, to biegnąc znowu, skacząc wokoło Wacki, czerwonej, rozczochranej, goniącej Dziutka, który raz po raz do niej doskakiwał i krzycząc tuż nad jej uchem »czarny lud« z piskiem i śmiechem uciekał. Aż wpadł na służącą, która na wysokiem podwórzowem wieszadle rozwiesiła dywan.

— A zatracieńcze, żeby cię choroba! — i pogroziła mu trzepaczką.

Dziutek pokazał jej język i znowu poskoczył na drugą stronę klombiku.

A za nim goniła Wacka, obsaczona skaczącą zgrają dzieci, krzyczących, potrącających się, zanoszących się od śmiechu.

A w tem rozległ się płacz...

To Andzia, biegnąc, potknęła się i upadła...

Leżąc krzyczała, krzywiąc twarz bez

ły jednej. Wacka podbiegła do niej, podniosła i wzięwszy za rękę prowadziła, wołając:

— Wymawiam, wymawiam, tylko Andzię odprowadzę.

Podeszła do sieni, w której na schodkach siedziała Lunia, brudna, nieuczyszona, z ogromnem zajęciem naciągająca na małą lalkę aksamitną brązową okrywkę.

Koło niej siedziała Ludka, córka szewca z przeciwka, na kolanach gładząc białą spódniczkę lalki, mrużąc coś do siebie.

Wacka posadziła Andzię przy nich, mówiąc:

— Potrzyj ją; rozbiła sobie łeb i beczy.

A sama pędem pobiegła za krzyczącą i bijącą się teraz gromadką.

Andzia już uspokojona, wyciągnęła rękę po lalkę i zawołała:

— Dawaj...

Lunia podniosła lalkę do góry i zawołała:

— Idź ty, nie dam, nie twoja...

Andzia skrzywiła się znowu, a wtedy Ludka dała jej spódniczkę lalki, mówiąc:

— Na! prasuj to, bo jedziemy na wesele.

Andzia odeszła i siadłszy, położyła sukienkę na rozgrzanym od słońca chodniku i trzeć piąstką zaczęła.

A Lunia rzuciła lalkę, wstała, chcąc odejść.

Ludka odwróciła się i, trzymając w rękę nawpół włożony paltocik lalki, zawołała:

— Nie bawisz się już?

— Nie chcę, nie będę, sama się baw!

— Poczekaj, zaraz, włożę Mani paltocik i pojedziemy na wesele, chodź Luniu, chodź!...

Lunia wróciła się i usiadła.

Od paru dni była smutną, bardzo cichą, pobladła trochę. Raz w ciągu dnia schwycił ją silny kaszel, dziwny, urywany, co wstrząsnął nią całą.

Teraz usiadła, wzięła gałganki, z któ-

rych urządziła jakiś płaszcz swej lalce, ale wypuściła ją z ręki i patrzyła tak przed siebie bez ruchu.

Na dziedziniec wszedł góral stary, bezwąsy, z twarzą pobruzdowaną, opasany pękami koszyków kolorowych, z fujarkami, które mu z torby sterczały, jak łożdygi.

Staął, powiódł wzrokiem po błyszczących w słońcu oknach i zagrał, zaświstał jakąś smętną zwrotkę, z pod hal urwistych tęsknotą płynącą...

Dziutek dopadł kłusem do niego i patrzył mu prosto w oczy, a za nim przystanęły inne dzieci. Góral z wzniesionymi w górę oczami grał ciągle swą smutną melodyę. Lunia słuchała nie ruszając się z miejsca i nagle rozplakała się. Łkanie wyrywało się z jej gardła coraz silniejsze, ostrzejsze, aż znowu zerwał się kaszel krótki do szczekania podobny.

Ludka objęła ją ramieniem, przytulała do siebie ścierając fartuchem łzy.

Powoli kaszel słabnął, cichł.

Lunia zawołała przez łązy, cisnąc brudne piąstki do mokrej jeszcze twarzy:

— Do domu, do domu chcę.

Powoli, przez zaśmiecone schody kuchenne poszły do mieszkania.

Drzwi od kuchni były otwarte.

Na środku stała balia z dymiącą bielizną; służąca prała z zakasanemi rękawami i założoną na pasek od fartucha spódnicą, czerwona, z włosami wiszącymi w mokrych kosmykach.

— A bodaj was choroba, gdzie leżecie! Człowiek sam nie ma gdzie się ruszyć, a te bękarty nałożą. Poszła na dwór! — zawołała na Lunię, mokrą dłońią chwytając ją za rękę.

A Lunia szarpnęła się i wybuchając płaczem wołała:

— Anusiu, ja chcę spać...

— A to idź, bachorze jakiś — i pchnęła ją ku drzwiom, prowadzącym do pokoju.

Lunia poszła i wlaższy z trudem

na nieusłane łóżko, skuliła się i zasnęła...

.

Na wpół rozebrany, siedział Horn przy stole, z głową opartą na dłoni, wpatrzony w koniec buta, kiwając miarowo nogą.

Świeca oprawna w zaśniedziały lichtarz, topiła się, kapiąc stearyną, co wielkim soplem wisiała z jednej strony.

Wtem rozległ się krzyk, ostry, przeraźliwy... Horn zerwał się, stanął, nie mogąc zrozumieć co się stało.

Ale jakieś rżenie i chrapanie ozwało się teraz z pokoju dzieci.

Horn schwycił lichtarz, parząc sobie palce kapiącą stearyną i wpadł do pokoju.

Potrącił o krzesło, na którym zrzucone były rzeczy Dziutka i dopadł do łóżka Luni.

W migocącym blasku świecy ujrzał ją siedzącą na łóżku z szeroko rozwartymi oczami, w których się śmiertelny lęk ma-

lował, bladą, z włoskami opadającymi na mokre od potu czoło.

Jedną ręką chwyciła się łóżka, a drugą cisnęła do piersi, z których dobywał się ochrypły, świszczący, w gwizd ostry przechodzący chwilami oddech.

Horn postawił na stole świecę i rzucił się do dziecka.

— Luniu, co tobie dziecko moje?...

A ręce Luni jak szpony wpiły mu się w dłoń, usta poruszały się bezdźwięcznie, aż cicho, ledwo dosłyszalnie wyszeptały:

— Boli, boli.

Horn wybiegł, zbudził sługę i kazał biedz po doktora, sam zaś zastukał silnie do drzwi Zosi.

— Co tam, co się stało?

— Lunia bardzo chora, wstawaj!

Mówił to ostro, rozkazująco niemal.

Wrócił zaraz do dziecka.

Dziutek zbudzony już siedział na łóżku trąc oczy, Wandzia płakała, a Lunia kurczyła nóżki, rwała ręką prześcieradło;

pierś zapadała wolniutko, z trudem wciągając powietrze, a dziecko prężyło się całym drobnym ciałkiem naprzód, przechylając głowę, rozszerzając nozdrza, chrypiąc i rżąc strasznie.

To znów chwytła się za piersi, to ciągnęła palcami język, kalecząc wargi, mlaskając, jakby chcąc jeść czy przełykać. Twarz jej z bladej stawała się siną, jakąś szarą sinością, czarne plamy okrężyły oczy, nos wydłużył się i cieniał.

Do pokoju weszła Zosia, w chustce narzuconej na koszulę, ciągnąc pantofle, na wpół włożone. Podeszła do łóżka, a Lunia ujrawszy ją, wyciągnęła ręce machając niemi szybko, ale zaraz czepiła się znowu dłoni Horna, który siadłszy za nią, podtrzymał ją z lekka.

— Co tobie, powiedz, odezwała się Zosia ospale, — musiała się przeziębic, dodała zwracając się do Horna.

Chciałaby, żeby już była cisza, uspokojenie, żeby to dziecko nie rżęziło tak. Było w niej takie wewnętrzne znużenie,

takie skołatanie, że nawet nie czuła żalu nad męczarnią córki.

— Trzeba zobaczyć gardło — i zwracając się do Luni: — pokaż Lunieczko gardziołko, pokaż...

Ale dziecko machało rękami, chwyciło się za szyję, dusząc się strasznie.

Febra nią trzęsła, dygotała całym ciałem, więc Zosia ściągnęła chustkę i okryła ją. A wzrok Horna poszedł po smukłej białej szyi żony, wtopił się za koronkę, co wzorzystą przeźroczością odchyłała się na jej piersiach.

Ona poczuła ten wzrok i ściągając koszulę rzekła:

— No zobacz — i wzięła świecę.

Próbował powoli otworzyć gardło dziecka, ale Lunia zaczęła się rzucać, kopać nogami, łzy płynęły jej z oczu, porwał ją atak kaszlu.

Horn bezradnie spuścił ręce; spojrział po pokoju i rzekł:

— Trzeba tu uporządkować, bo Kozički zaraz przyjdzie — mówił o doktorze.

— Posłałeś? — spytała Zosia, siedząc przy łóżku, bezmyślnie zapatrzona przed siebie.

Przy świetle świecy zaczął ustawiać krzesła, ściągać na jedno miejsce porzucane ubrania, odsunął miskę z wodą, pozbierał ze stołu ręczniki i szczotki od butów.

Stał wreszcie z rękami pełnymi rzeczy i spojrzał. Świeca topiła się chwiejąc się, płomiennym językiem oświetlając prosty drewniany stół i łóżko, na którym siedziała Wandzia, otulona czerwoną podartą kołdrą, z której kłębami wylaziła wata.

W kątach było mroczno, nieswojo...

Jakaś duszność, jakiś ciężar wisiał w powietrzu, ściany zdawały się tłoczyć, chylić, przygniatać, jakby zwałając się na Horna.

Zdawało mu się, że jest ogromnie mały, niby przykuty do podłogi i wtem wszystko oddaliło się od niego, zamajaczyło w dali, aż stracił prawie poczucie samego siebie, ale widział i słyszał doskonale.

Było cicho, martwo...

Tylko coś rzeżało, gotowało się, chrypiło w piersiach Luni i coś szemrało w kącie pokoju koło Horna.

I ten szmer rósł, potężniał... coś drapało, szło ku niemu.

Horn czuł jak mu serce bije coraz silniej, bał się...

A przed nim wszyscy byli jak żywy a znieruchomiony obraz.

Dziutek boso stał przy łóżku Luni, Zosia siedziała skamieniała, z rękami opuszczonemi, a Lunia rozwierała chwilami oczy i wodziła niemi dziko, aż błyskały jej białka i była już nie dzieckiem, ale starą, kredową wykrzywioną maską; i ta twarz Luni ogromniała, stawiała się coraz bliższa i szła ku Hornowi, który z osłupiałym wzrokiem, jak wbity w ziemię nie mógł się ruszyć.

A szelest znowu się ozwał.

Jakby ktoś miał papier...

Horn nagle spojrział.

Czarny, duży robak przeleciał koło

jego nóg, uciekając z pod leżącego w kącie papieru. Horn drgnął i zobaczył cały pokój tuż koło siebie.

Wtem rozległ się dzwonek.

Zosia zerwała się i wybiegła z pokoju.

Horn cisnął rzeczy na krzesło i pobiegł otworzyć.

Wszedł doktor.

— Cóż się stało?

— Lunia, panie doktorze, zachorowała, niewiem co to jest, ale dusi się poprostu, może krup...

Zaraz zobaczymy, — i zdjawszy palto doktor wyjął z kieszeni mały portfel z przyrządami.

Weszli.

Zaledwie spojrzął, rzekł odwracając się do Horna:

— Te dzieci — wskazał na Wandzię i Dziunię — natychmiast usunąć. To bardzo silny dyfteryt.

Horn schwycił Wandzię na rękę, Dziutka porwał i ciągnąc przy sobie, wpadł

do pokoju Zosi, która powoli nakładała stanik.

— Idź tam, do doktora, ja z dziećmi jadę do Mani — mówił o swojej siostrze — to dyfteryt!

— Sama nie zostanę, poślij przez Anusię.

— Sam zawiozę, nie dam im tu zostać, rozumiesz — krzyknął w jakiejś nagłej pasyi, tupnąwszy nogą.

— Ależ jedź na złamanie karku — wybuchnęła Zosia.

— Nie dam im umrzeć, jak ty tej twojej...

— Milcz... — krzyknęła Zosia.

Z drugiego pokoju doktor wołał:

— Może tu kto pozwoli...

Słysząc było charczenie i świszczący oddech Lni. Zosia wybiegła, a Horn w przedpokoju drżącemi rękami, ubierał Wandzię płaczącą z cicha i milczącego Dziutka.

Potem wziął Wandzię na ręce i zbiegli szybko ze wschodów.

Zastukał do stróża.

Ten po chwili wyszedł, dzwoniąc kluczami.

— A dokąd to wielmożny pan po nocy z dziećmi?

— Do siostry odwożę, bo mi Lunia zachorowała na dyfteryt.

— Pewnikiem złapała od tej maglarskiej córki co to umarła zawczoraj.

— Umarła?

— A tak i my tam chodzili — zawołał Dziutek.

— I moje chodziły, jeszcze mi się także, psiakrwie, pochorują.

W Hornie coś zawrzało.

— Otwieraj! — krzyknął.

Stróż otworzył.

Horn wypadł na ulicę i wrzasnął:

— Dorożka.

Wsiadł i umieścił dzieci koło siebie, gnając myślami chudą szkapę, która ich ledwo ciągnęła.

.

Wyszedł od siostry i stanął.

Latarnie już pogaszono, siny świt za-

lewał świat. Lekki wiatr chłodził mu czoło, a ulica z rzędami malejących domów, zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Było pusto, cicho, ulica wiła się naga, błyskając kałużami wśród dwóch stromych grzbietów domostw.

Szedł a krok każdy dzwonił po chodniku.

Nienawidził Zosię w tej chwili.

Z niedozoru, z zaniedbania, tamta, ta biedna mała umierała.

I jego dzieci mogły się zarazić.

Teraz to uczucie nienawiści rozżętniało w nim.

Kara Boża! bękart skona, napewno skona, za jego męki, za rozpacz, za wstyd, który w sobie tłumił.

Podła! podła! matka! suka szczenięta strzeże, a ona.

Nawet tej nie strzegła.

Przeszedł koło restauracyi.

Zachciało mu się pić, pić bez miary. Pożałował, że wszystko zamknięte.

Ten Henryk, ona... Zbrodniarze!

Ale poco on to błoto sobą osłania,
poco?

Napluć w twarz takiemu.

Zdechnie ten bękart, przynajmniej to
dobre.

A wtem zamajaczyła przed nim jasna
główka Luni, uczuł jej usteczka na szyi
swej jak codzień wieczorem.

I znów posłyszał ten ochryply jej od-
dech; tę walkę ze śmiercią.

Coś w nim drgnęło, żal ogromny wrócił.

Boże! przebacz, niech ona żyje, niech
żyje.

Coś nim gnało teraz, pędziło go, chciałby
odwołać swe słowa, cofnąć je...

Pobiegł do domu prawie pędem.

.

Kiedy wszedł do pokoju, świeca do-
palała się na stole, a świt siną świa-
tłością zalewał pokój jeszcze brudniejszy,
nędzniejszy teraz, z opuszczonemi łóżka-
mi dzieci.

Lunia leżała cicho, z zamkniętymi ocz-
mi, oddychając ciężko, bardzo blada.

Zosia siedziała przy niej, obok stała służąca. Horn na palcach zbliżył się nagle pokorny. Spytał szeptem:

— Jak się ma?

Zosia ani drgnęła.

Odezwał się ciszej:

— Nie rób scen, Zosiu, powiedz jak ona się ma.

A w duchu mówił sobie: »Boże żeby było lepiej, żeby ona tylko żyła«.

Te przekleństwa poprzednie paliły go niepokojem, przestraczem zabobonnym.

Służąca wyszła z pokoju, ostrożnie zamykając drzwi.

— No powiedz, błagam — i schylił się do jej ręki.

— Odejdź odemnie, nie rób komedyi, ty — rzuciła Zosia, cofając dłoń.

Horn wyprostował się i jeszcze spytał:

— Doktor dawno wyszedł?

— Dawno.

— Co kazał robić? Możesz ty zręczona, połóż się, ja tu posiedzę.

— Zastrzyknął jej surowicę, czy coś,

krzyczała w niebogłosy, teraz się dopiero uciszyła.

— Czy nie przyjdzie?

— Kto? — spytała żywo Zosia.

— No, doktor.

— A... przyjdzie, koło południa.

— A tyś myślała o kim?

— O nikim... Sama byłam, nie wiedziałam co robić, poleciałeś jak waryat, posłałam Anusię po pana Henryka.

— Po Brzozowskiego?

Wydało mu się dziwnem, żeby Brzozowski przychodził do nich nad ranem, wmieszany w domowe życie, do którego nie powinien był należeć.

Ona spojrzała mu w oczy i spokojnie odparła:

— Tak.

Zrozumiał wreszcie i zamilkł, ale znowu coś złego między nimi stanęło.

Lunia poruszyła się gwałtownie i z krzykiem zbudziła się.

W tej chwili ozwał się krótki dzwonek.

Zosia zerwała się i wybiegła.

Roztworzyła drzwi; Brzozowski w nocnej koszuli, przerażony wpadł.

— Co się stało, na litość boską!

— Lunia ma dyfteryt, krup, sama nie wiem co.

On zawahał się przez chwilę: dyfteryt... zaraza... ale Lunia... jego Lunia! I wszedł.

Zosia buchnąwszy płaczem, zapominając o wszystkim rzuciła mu się w ramiona. Ale on ją odsunął zaraz niecierpliwie, i rzekł:

— Dajże spokój, przecie on tam jest — i nie zwracając uwagi na nią poszedł do pokoju Luni.

Horn podtrzymawał ją, a ona siedząc, walczyła z dusznością.

Twarz jej była sina, oczy zdawały się wytryskiwać z orbit, chrapała coraz straszniej, szarpiąc palcami prześcieradło, unosząc się na rękach, aż obojczyki sterczały, odcinając się od dwóch jam co się koło nich tworzyły.

Brzozowski podszedł, wyciągnął dłoń

do Horna, ale ten nie puszczając dziecka, kiwnął mu tylko głową.

Brzozowski nie spostrzegł tego nawet, tylko chwycił rączki Luni i zaczął je całować.

— Co tobie moja Luniu, powiedz.

Horn znakiem wskazał mu swe miejsce sam zaś stanął koło łóżka.

Teraz Lunię porwał kaszel, zrywający ją całą, aż siniała, a żyły fioletowymi postronkami nabrzmiewały jej na szyi, rzucała się, szarpiąc bieliznę, krwawiąc palce o żelazną poręcz łóżka. Grało jej w piersiach, burzyło się ale powoli atak słabł, zaczynała chwytać ciężko powietrze, tylko twarz jej z siwej stawała się szarą, jakąś ziemistą szarzyzną, ruchy stawały się mniej gwałtowne, oczy traciły blask, pierś unosiła się coraz wolniej, przymknęła powieki, osłabła i opadła na ręce Brzozowskiego.

— Połóż ją — szepnęła Zosia, która zbliżyła się zupełnie do niego.

Położył ją i stanęli obok siebie.

On wpatrzony w Lunię, Zosia w niego, a za nimi siedział Horn, z głową spuszczoną, rwany nienawiścią do tych dwojga.

W pokoju było cicho, ciepło.

Z ulicy dolatywał stłumiony turkot, przedarło się raz jakieś wołanie, przeciągłe, dalekie.

Słońce wpełzło, złotem pasmem rozświetlając ścianę nad łóżkiem Luni, rozkrwawiając czerwień kołdry.

W promieniu lśniły skaczące pyłki kurzu, błyskały, ginęły i opadały wirem na pochyloną, ciemną głowę Brzozowskiego. Kot wysunął się z kąta, stanął w słońcu, świecąc swą białą szerścią, wygiął grzbiet i ziewnął, ukazując różowy język.

Było jasno i jakby się na coś czekało.

Lunia oddychała wolno, pot perlił się na jej czole, nosek wydłużył się, ostrzał, usta stały się blade, trochę piany zabie-

liło się na wargach. Zosia pochyliła się nad nią i nagle krzyknęła.

— Ona kona, prędko po doktora!

Horn wybiegł do służącej i zaraz wrócił, stojąc nad łóżkiem bezradny, nie wiedząc co robić. Zosia uklękła i głowę skrywszy w kołderkę dziecka łkała głośno.

Brzozowski stał blady, wpatrzony w twarz szarą Luni, postarzałej i zmiennej i łzy płynęły mu po twarzy. Słońce zaszło niżej, rozbieliło poduszki, ozłociło Lunię.

Ona zawarła powieki, oczy jej przewróciły się błysły białkami, szklistem, matowemi, charknięcie jedno, długie, wydarło się z gardła z trochę piany, rzucała rękami i opadła na poduszki.

Zosia zerwała się i osunęła aż do nóg Brzozowskiego.

W kącie stał Horn.

Wtem Brzozowski podniósł głowę, odsunął leżącą prawie u stóp Zosię i nie zważając na Horna, jakimś złamanym,

zimnym, nieswoim, ochryłym głosem
rzekł:

— Ona umarła przez ciebie, tyś nigdy
o dzieciach nie myślała. To podłość.
I wyszedł.

VIII.

Kłęcząc na ziemi Zosia przerzucała rozłożone wkoło siebie teki.

Z szerokich, szarych okładek, wysuwały się setki szkiców, jak płachty kolorowe, pokreślone, podznaczone zaledwie.

Tu widniała kępa drzew w słońcu, tu dalekie błonia, kilkoma zaledwie smugami oznaczone.

Zosia szukała szkiców z Olęki.

Teraz myśl jej wracała coraz częściej, nieustannie prawie do tych jasnych dni w Olęce spędzonych.

Wiedziała, że wszystko już mija, ucieka od niej olbrzymimi krokami, a ona nie może tego zatrzymać, i, bezradna, bez-

silna, patrzy jak to wszystko, co jej życie stanowi, maleje, ginąc w dali. Miała uczucie moralnej duszności, jakby tonięcia i ta agonia trwała bez końca. Wracała więc myślą do pierwszych dni poznania się z Brzozowskim, przeżywała je na nowo, roiła sny całe, żyjąc w fantasmagorjach widziadlanych.

...Brała szkice do ręki jeden po drugim, aż natrafiła na widok ciemnej ustronni, gdzie poprzez szerokie pnie zaledwie przesiewało się światło, na zrudziałej grając korze; spodem był mrok liści, krzów i traw wysmukłych, wśród których wilgotnej zieleni czerwieniły się kołpaki muchomorów i aksamitnie rozścielały się płachty mchów, a w górze, ciemne splątanie gałęzi i igieł zwiesistych zaledwie przetykało się skrawkami błękitu.

Zosia patrzyła na ten szkic z ustronnej puszczy wzięty, na to drzewo, i zbliżywszy rysunek do oczu wpatrywała się weń coraz baczniej, jakby chcąc odkryć w korze ślad noża, którym wyłobił Brzo-

zowski, kiedyś, dawno, w wiosnianych dniach miłości, w skwarne popołudnie letnie, jak żak szkolny, swoje i kochanej inicjały.

Zamknęła oczy, karton z rąk wypuściła. Widziała się z Brzozowskim w lesie, ogromnym, mrocznym lesie, a potem nagle, pod niebem jasnym, na białym marmurowym tarasie, z niebieskimi falami morza u stóp, w jakimś kraju rozradowania i szczęścia.

Schyliła głowę na ramię Brzowskiego, a on całował jej usta długo, namiętnie. A potem widziała sale lśniące z wysokimi kolumnami o złotych głowicach, jakieś bogate sprzęty, wspaniałe kotary, lustrzane podłogi... i siebie z nim w tych komnatach uroczych i zdawało się jej że tak będzie na zawsze, że gdyby chciałajechać na koniec świata, to pojedą razem.

W drugim pokoju służąca zamiatając stuknęła szczotką o drzwi, aż się zatrzęsły.

Zosia zbudziła się.

Niema go.

Pojechał od miesiący, tam, nad błękitne morze, w krainę pałaców białych, do Włoch i tam na zawsze złączył się z Anią.

Teraz podróżują, kochają się, ściskają, a ona nawet nie wie, gdzie on jest.

Ale ma wrażenie, że tam daleko jest jakiś jasny, słoneczny kraj, jakaś wielka przestrzeń od słońca złota, a całą tę przestrzeń dla niej zapełnia Brzozowski.

Widzi go pod jasnym niebem, w scenerji przepięknej, przebogatej, drgającej odświeżonym życiem i weselem.

Zadnej wiadomości, ani słówka, litery nawet jednej.

Od czasu jak wyszedł z jej domu w ten straszny ranek, kiedy Lunia umarła, znikł dla niej. Widziała go raz w natłoczonej sali sądowej, na sprawie tego nieszczęśliwego Borskiego, którego Nicka, jego kochanka, dowiedziawszy się, że on chce się żenić, witriolejem oszpe-

ciła. Pamięta tę długą, białą salę, pełną eleganckiego, miejskiego towarzystwa, które przybiegło żądne wrażeń, słuchać przebiegu skandalicznej sprawy i mowy ulubieńca pięknych pań.

I te słowa Brzozowskiego!

Mówił tak cudnie, że aż w Zosi coś drżało, ale później...

Później to tak jakby tylko o niej i o sobie mówił i tłumaczył wszystkim, że tylko legalny związek ma prawo bytu, że dla uczciwego człowieka prawo rodziny wyższem musi być od prawa miłości, jeśli ten człowiek chce być prawdziwym członkiem swego społeczeństwa.

I te jego słowa biły ją, piętnowały, wżerały się w duszę jak gady, a z każdego zdania wiało zimnem grobowem.

Ten kochanek jej, potępiający związek taki jak ich, rzucający słowa plugawe, żądający karania tego co dla niej świętem było!... Każde słowo jego zrywało jakąś nić, szarpało ją bólem aż w spełnieniu rozpaczy straciła przytomność.

Kiedy się znalazła w domu o mało nie oszalała.

Zrozumiała.

Skończyło się.

I potem nic, ani wiadomości.

Wykreślił ją z listy swego życia, lekko, swobodnie.

Raz pisał do Horna, zawiadamiając go, że wyjeżdża na ślub.

Żegnał go serdecznie, ale tylko jego... Ona gdy przyszedł list, rzuciła się doń, drżąc cała, w stuku serca co jej wszystko głużył.

I nie było dla niej słowa.

Teraz była chorą, złamaną, bardzo chorą. Żyła tylko przeszłością i snami bez żadnej nadziei, nawet nie starając się dowiedzieć gdzie on jest i kiedy wróci.

Żyła odruchami, zwierzęcym impetem życia, snuła się po pokoju, wychudła, blada z coraz silniejszymi atakami serca, które ją sztywniły, obezwładniały na godziny całe.

Kiedy przychodziło to silne bicie ser-

ca, potem ból wielki, a później tężenie rąk i nóg, zziębnięcie, jakby zmarznięcie twarzy i szyi, miała zawsze nadzieję że umrze, płakała cicho, w myśli modliła się o szybki koniec. Stała się zupełnie obojętną na wszystko. Dzieci prawie nie widywała, do męża niemal nie mówiła.

Nie malowała bo ją to męczyło, ale czasami szkicowała, siedząc na kanapie, setne profile Brzozowskiego.

Czasami zrywała się nagle, dzika, straszna i krzyczała, rzucała się, tarzając w bólu. A potem tępiała i majaczyły się jej sny dziwnie, coraz piękniejsze i niemożliwsze.

A zawsze z nim.

I tak szły tygodnie jednakie, monotonne, przerywane tylko godzinami jedzenia, od którego wstawiała, zaledwie dotykając potraw.

Nieraz siadywała w oknie, patrząc na dziedziniec, na bawiące się dzieci, na sute-renę, w której widziała kobiety kręcące magle.

Dzieci skakały, goniły się, a śmiech i krzyk, drażnił ją i gniewał.

Wtedy przychodzi jej na pamięć Lunia, ta biedna mała Lunia, której śmierć rozerwała ją ostatecznie z Brzozowskim.

I Zosia pomyślała, że może Bóg ją tak karze za to, że była złą matką.

Zaczęła więc codziennie modlić się za Lunię, dała na mszę, poszła do spowiedzi, pościła, suszyła, rano wstawała i biegła do kościoła.

Ale wśród umartwień i gorących modlitw z ust jej zrywało się błaganie:

— Boże! zlituj się, powróć mi jego miłość.

Potem przestała się modlić, zapomniała o Luni, przez godziny całe siedziała w swym pokoju bez ruchu niemal.

Stawała się martwą, biedną rzeczą, czemś co porzucono bezlitośnie, a co nie ma nawet prawa skarżyć się...

Z początku myślała, że miłość ma jakieś prawa, że niewolno kobiety, której

duszą i ciałem się żyło, rzucić jak niepotrzebny przedmiot i iść dalej, spokojnie, w nowe życie. Myślała, że miłość ma takie węzły, że serce z sercem łączy tętnem wspólnego bicia, że rozerwać to uczucie można tylko z życiem. Myślała, że miłość zostawia w duszach niezatarte niczem ślady, że najsilniejszym będąc uczuciem wpija się wspomnieniem niezapomnianem w myśl ludzką.

Myślała, że nad wszystkie człowiecze prawa najpotężniejszym jest prawo miłości. Dla niej miłość była nimbem złotym wszystkich dążeń ludzkich, wniebowzięciem, świątynią, czemś nieskalanem i tak wielkiem, że cała dusza jej w tem tonęła i tem żyła.

On jednak podeptał to wszystko, po miłości jej przeszedł błotną nogą filistra, który idzie tam gdzie mu wygodniej, niszcząc niebacznie na swej drodze najsubtelniejsze dusz drgnienia.

Zabito w niej właśnie to, co tłąc się w niej, pobudzało jej serce do bicia.

I teraz to biedne serce było coraz słabsze, biło zaszybko, i żyła w niem nie rodzicielka szczęść i upojeń — miłość, ale tkwił zaród śmierci.

Długie godziny leżała Zosia, z mokrym, zimnym okładem pod lewą piersią, tam gdzie czasami zabłąkane usta Brzozowskiego takie gorące kładły pocałunki, przerywane pytaniami: »To moje serce, dla mnie bije — prawda?«

Teraz już nawet nie czekała, tylko wlokło się jej życie, poprzez jasne dni letnie, nudne, złoścące ją czasami brutalną, cyniczną wesołością.

Horn patrzył na nią z rozpaczą, bo czuł że ginie dla niego znowu, w apatyi, co ją zabiła.

Kiedy raz wspomniał o potrzebie zawołania doktora, spojrzała nań z pogardą i odparła:

— Nie potrzeba i nie odzywała się więcej.

Kiedy Brzozowski żenił się, w Hornie rozpromieniało się uczucie radosnej na-

dziei. Stał się nanowo młodym i zalotnym. Staranniej ubierać się począł, przynosił Zosi codziennie świeże kwiaty, cukierki, patrzył jej w oczy, starał się być wesołym, dowcipnym.

Ale ona tego nie spostrzegła, a raz nawet, zaraz z początku, wkrótce po wyjeździe Brzozowskiego, kiedy Horn wszedł do niej w jasnym ubraniu, z ponsowym gwoździkiem w butonierce, spojrzała nań z pod przymróżonych powiek i rzekła:

— Cóż ty z siebie pajaca robisz?!

A on zaczerwienił się i miał wrażenie że te jej oczy obdzierają go z ubrania.

Uciekł na ulicę i poszedł pić.

I odtąd coraz częściej szedł do handlu na róg, do ciemnej, mrocznej izby za sklepem, siadał w kącie i pił, zalewał gardło szerokimi łykami z dużej szklanicy, pił do zapomnienia.

W domu był chaos i nieład, ale go to już nic nie obchodziło.

Dzieci chodziły niepomyte, brudne, sługa panowała niepodzielnie.

Dziutek wcale się nie uczył, aż raz przyszedł do ojca i nawpół z płaczem zawołał:

— Tatku, tatuńciu, ten Julek od stróżki chodzi do szkółki a ja nie? Tatku dlaczego?

Horn z głową jeszcze pełną alkoholichnych dymów, odparł byle coś odpowiedzieć:

— Będziesz się uczyć, a jakże, poczekaj.

I na obietnicy zostało.

Horn topił się w alkoholu, czasami zaś wieczorem gonił na ulicy jaką młodą dziewczynę, która mu w przejściu harde rzuciła spojrzenie i szedł z nią do hotelu.

A po tych nocach wracał do domu zły, smutny, w duszy wrzała mu nienawiść coraz większa do Brzozowskiego.

Był on dla Horna jakąś marą przeklętą, która zaprzepaściła mu życie, zmarnowała go i złamała. Teraz, kiedy Brzozowski był daleko a jeszcze panował w jego domu, Horn nienawidził go jak widmo straszne,

co nawiedzało złym swym wpływem to
zdeptane i zgasłe jego ognisko domowe.
Horn pił, Zosia nędzniała, a Brzozowski
bawił się pod błękitnem niebem włoskiem.

IX.

Po sześciu miesiącach Brzozowscy wrócili. Ona chora, bardzo brzydka z żółtymi plamami na twarzy, ciągnęła do domu wioząc z zagranicy wspaniałą wyprawę dla dziecka.

Brzozowski wracał z przyjemnością, ciekawy znajomych, dawnych wielbicielek, w myśli przygotowując nowe zwycięstwa, żądny tych szmerów pochwalnych i uniesień, które się za nim zawsze wlokły w rodzinnem mieście.

Chciał zresztą użyć domu, tak jak używał za granicą. Wracał z przyjemnością tem większą, że tam, za granicą wśród tłumów wykwintnych i miljonowych gości i nikł, tu zaś u siebie, w do-

mu będzie owym pierwszym, najpiękniejszym, rozrywającym, tym, który ściąga ku sobie wszystkie oczy kobiece.

Miał pieniądze, duże nawet, więc za-
mało mu było imponować kelnerom i szwaj-
carom zagranicznych hoteli, pragnął olśnić
swoje miasto.

Nakupił przeróżnych krawatów, no-
wych ubrań i całymi dniami przebierał
się. Ania patrzyła na niego jak się pa-
trzy na bardzo kochane a grymaśne dzie-
cko. On zaś stawał się coraz więcej
biernym, Ania dyrygowała wszystkim,
kierując nim w zupełności.

Poddawał się temu z przyjemnością,
rad, że myśleć nie potrzebuje.

Z początku dniami całymi nie ruszał
się od niej. Była nowością, tonął w roz-
koszy, czarując ją nieustannie słowami,
pozami, magnetyzując spojrzeniami. Po-
tem zaczął się trochę rozglądać w koło
siebie. Parę razy pod różnymi pozorami
wymknął się z domu, goniąc poprzednio
widziane dziewczyny.

Raz w Monte Carlo, stojąc koło Ani i czule cisnąc jej ramię do siebie, porozumiewał się oczami z jakąś rudowłosą paryżanką, mieszkającą obok nich.

Zdradzał Anię wesoło, lekko, jakby płatał dobrego figla.

Robił tak, bo mu było przyjemnem.

Gdyby mu kto powiedział, że czynił źle, nawetby nie pojął tego.

Był zawsze gotów do oddania przysługi, niosąc gdzie jej potrzebowano, a on mógł być użytecznym.

Wiele spraw w swem życiu bronił z dobrego serca dla biednych, z podwojoną gorliwością studjując akta.

Była w nim łatwa dobroć, na którą nie potrzebował wysiłku.

W jego lekkomyślnej, płytkiej naturze zło nie istniało jako zło.

Brzozowski nie był ani przewrotny, ani zepsuty. Nie umiał czegokolwiek zabronić sobie, nie hamował się nigdy i szedł zawsze za pierwszym impulsem nie myśląc o tem co później będzie.

Dla Ani był czuły, całował ją nieustannie, klękał przed nią, łaszac się do niej, owiewając ją swym czarem.

Ona nie przypuszczała zdrady, nie śledziła go i nie podejrzewała.

Zdawało się jej zresztą, że on nie miałby nawet czasu na to.

A jego właśnie najczęściej bawiły te nocne wycieczki, szybkie, chwilowe, do pokoju rudowłosej francuzki, o dwa numery od sypialni żony, w niebezpieczeństwie wspólności korytarza hotelowego, w którym służący widzieć może w powrocie, prędkim, skradając się do żony, do której wracał jeszcze pełen pragnień.

Od czasu jednak zasłabnięcia Ani, Brzozowski czuł się zwolnionym od wszelkich względem niej obowiązków.

Czasami żałował, że nie mógł już mieć jej palących uścisków; teraz była cierpiąca, osłabiona, a jego to drażniło niemile. Przytem tak bardzo zbrzydła, schudła, jakby postarzała.

Te wszystkie przedwstępne oznaki macierzyństwa napępniały ją dumą i radością, jego zaś poprostu wstrętem. Opowiadała mu wszystkie swe uczucia, szczególnie, wsłuchując się ze szczęściem w swój ból i niepokój, a on zaledwie zwracał na to uwagę, w roztargnieniu myśląc o jakimś spacerze czy widowisku, starając się wprost nie słyszeć tych nieprzyjemnych rzeczy.

Potem Ania musiała ciągle prawie leżeć. On wówczas udał jakieś neurasteniczne objawy, na które, jak mówił, doktor zalecał mu przejażdżki i rozrywki.

Ona go nie zatrzymywała, drżąc o jego zdrowie, ufając mu chorobliwie, przeciężywszy w sobie pragnienie trzymania go przy sobie, wiedząc zresztą, że ją widział zmienioną, coraz brzydszą, skarykaturowaną.

Dla siebie zresztą apoteozowała swą brzydotę, czasami tylko z dumą mówiąc o tem mężowi, rojąc całe sny złote o przyszłem dziecku, jego dziecku!

Brzozowski nie miał jej tego za złe, nic nawet nie mówił, tylko jak mógł tak uciekał z domu. W niej niepokój nieufności znikł zupełnie, i ona, która znała go tak dobrze, nie chciała na chwilę przypuszczać przed samą sobą, aby on mógł ją zdradzać albo kłamać jej.

To życie się i ta wiara, które nastąpiły przez pierwsze miesiące po ślubie, kiedy pociągnięty nowością położenia i ogniem namiętnych uścisków Ani, Brzozowski nie odstępował jej na krok, spowodowały, że Ania zapomniała o istocie uczuć i charakterze męża.

Widziała go czułym, hypnotyzującym każdym ruchem i takim go już tylko widzieć umiała.

Prostu nie pamiętała o Zosi i tylu przelotnych romansach Brzozowskiego, oddała się cała swej miłości i panując nad nim wolą w drobiazgach i wspólnych czynach, pewną już była opanowania nawet w dziedzinie jego skłonności i usposobień.

Zamknęła oczy, w pewności że go ma

niepodzielnie i chyba naoczność błędu, przekonaćby ją tylko mogła.

Brzozowski spostrzegł to i był temu bardzo rad. Mówił sobie, że nie zdradza jej, bo nie *kocha* kobiet, z którymi się spotykał. To były tylko fantazje a te mieć mu było wolno, w jego rozumieniu. Jeden poluje, drugi gra w karty, a mimo to kocha swą żonę.

On zaś, mówił sobie, zamiast kart, koni i kniej, lubi ładne niewiasty. Chciał tylko bardzo przelotnych znajomości. Jakiś trwalszy stosunek uważałby sam za wykroczenie.

Dlatego też nie odpisywał na listy Zosi.

Kiedy Lunia umarła, w Brzozowskim powstał ogromny żal do Zosi, szczery i głęboki, za śmierć tego dziecka, które zginęło przez niedozór, niedbalstwo i opuszczenie zupełne.

I odtąd nie chciał już Zosi.

Między nim a nią przeszło zmrożenie śmierci, śmierci tego maleństwa, o które on tak bardzo dbał.

Nie zdobywał się Brzozowski na nienawiść, ale nie lubił Zosi, a to uczucie było u niego wykreśleniem jej z listy żyjących. Zosia była dlań odległą, jakby umarłą, albo żyła na innej planecie.

Było mu *wszystko jedno* gdy mówił o niej, miał tylko żal, że umarła Lunia. Kiedy Ania w wybuchu radości, zwierzyła mu się, że będzie matką, uradował się, że będzie miał nową Lunię i przez to zapomniał już o umarłej.

O tem, czy Zosia cierpiała nie myślał.

Nie umiał wystawić sobie cudzego cierpienia, skoro sam go nie czuł.

Kiedy powrócili z za granicy, matka Ani przyjechała natychmiast.

Roztarasowała się w ich domu i rządziła za córkę.

Brzozowski zaś pod pozorem objęcia swych zajęć, po całych dniach był poza domem, składając wizyty, obnosząc wszędzie nowe krawaty i garnitury, używając we własnym wspaniałym powozie.

Do Zosi nie zajeżdżał, ale pojechał do Horna, do biura.

Nie poznał go prawie.

Posiwiął, twarz mu się zmarszczyła, jakieś obrzękłe worki wisiały pod oczami, a na policzkach wystąpiła sieć niebieskich żyłek.

Zaledwo z nim mógł mówić.

Horn w półpijany siedział kreśląc jakieś fantastyczne figury.

Kiedy go spytał co mu jest, odparł brutalnie:

— A no, psiakrew, ubraliście mnie. To wasza robota. Wyleją mnie z biura i pod płot, rozumiesz pod płot. A ona i dzieci do przytułku, a jakże, — splunął i znowu zaczął rysować.

— Czegóż ty pijesz, bój się Boga...

— Czego, a bo mi z tem dobrze, a tobie wara od tego... To nie ona, to ja — dodał. — Widzisz ty, — ciągnął dalej — ty sobie jeździsz, a ja piję... Ty pan i ja pan.

Ja jestem łajdak, pijak, świnia, ja

wiem, ale ja jestem nieszczęśliwa świnia, — i rozplakał się.

Brzozowski podszedł bliżej do niego i objął go, mówiąc:

— Słuchaj, co się z tobą dzieje, zdenierwowany jesteś, otrząśnij się, nie pij.

Hornowi nagle oczy zabłysły, pięść ścisnął i przysuwając aż pod twarz Brzozowskiego, krzyknął:

— A ty milcz, kanalio i stąd precz! Przez ciebie ja zmarniał, ty psie jeden. Ona przez ciebie, tamta co umarła, wszyscy przez ciebie... Poszedł mi stąd, bo ci...

Z pokoju, w którym siedzieli urzędnicy ktoś wyjrzał, słysząc krzyk Horna, a Brzozowski wyskoczył copędzej, zbiegł ze wschodów, wpadł do powozu i kazał się wieźć szybko, pragnąc ochłonać.

X.

Blada w świetle lamp o przyćmionych abażurach, siedziała Zosia w buduarze Ani.

Brzozowska była więcej niż zwykle cierpiącą, leżała na szeslongu okryta pledem.

— Co ci jest? — pytała Zosia.

— Wiesz, wstrząsa mną od czasu do czasu i strasznie mi niedobrze. Całą cytrynę już zjadłam.

— To niedobrze. Chociaż ja przed urodzeniem Wandzi, miałam takie palenie, że węgiel łyżkami zjadałam.

Umilkły.

Zosia przycisnęła ręką bijące serce.

Marzyła o spotkaniu się z Brzozowskim, ale wiele razy przysłała do Ani nie widziała go nigdy. Na listy też jej nie odpowiadał. W duszy Zosi było takie skołatanie i ból, że zazdrość wszelka w niej znikła.

Nie myślała już o walce z Anią, czuła się zwyciężoną, pragnęła tylko jakichś okruchów uczucia, wzmagała się w niej konieczność złożenia swej biednej głowy, na jakimś litosnem ramieniu, pragnęła przytulenia się do kogoś, garnęła się do Ani jak do siostry dobrej. Nieraz przychodziła do niej w rozpacz co ją dławiała i mówiła cicho o tym swym bólu.

W Ani wezbrała wielka litość i nieraz chciała powiedzieć coś Brzozowskiemu, widząc jej męczarnie, ale wnet opamiętywała się i tylko z Zosią była jak z chorem, biednem dzieckiem.

Teraz Ania leżała z przymkniętymi oczami, postępując z cicha.

— Warto się tak męczyć, — szepnęła Zosia.

Ania otworzyła oczy.

— Jakto nie warto? Żeby mieć dziecko od człowieka, którego się kocha. Ja myślę że warto!

— Lepiej tym co ich nie mają. Nie zrujnują przynajmniej zdrowia.

— Tak, może. Ale jak przyjdzie starość to straszne. Mówią, że najwięcej kochając wprost przywyknie się zanadto do jednej twarzy i wyrasta obojętność, nuda, a kiedy są dzieci jakoś raźniej, weselej.

— Ach to wesele! Wszystkie nerwy pękają. A wychowuj, a pilnuj. Tak, mogą chcieć dzieci tylko mężczyźni, bo to ich nie boli.

Znowu u.ilkły.

Po chwili Ania rzekła:

— Zresztą to takie zespolenie w miłości, rodzina.

— Ogromne! córki wyjdą za mąż i dbają tylko o mężów, synowie pójdą na koniec świata i masz rodzinę...

— No a mąż?

— Ach mąż, mąż!

— No przecie są mężowie, co kochają — szepnęła Ania nieśmiało.

Zosia ze złą ironią spojrzała na nią. Rosło w niej niedobre, drżące zdenerwowanie.

— Chciałabym wiedzieć gdzie? Każdy dobry z początku. Ja nie wierzę w żadną miłość, w żadne przysięgi na wieczność. Skąd zresztą człowiek może przysięgać że nigdy nie zmieni swego uczucia przez całe życie! To absurd. Wszystko się w nas zmienia, skóra, włosy, więc dlaczegóżby naturalną drogą nie miały zmieniać się i uczucia. Zresztą kobieta potrafi kochać, ale mężczyzna! Póki chce, póki pragnie, no, to niby kocha, ale potem!

— Trzeba umieć opanować, przytrzymać.

— Umieć opanować! Ależ oni mają sto tysięcy sposobów uniknięcia podejrzeń, zajęcia im pozwalają być ciągle na mieście. Opanuj tu, przypilnuj! Zresztą co tu pilnować, pilnowanie już nic nie warte.

Ale żeby oni byli logiczni w uczuciach. Gdyby zdradzali przynajmniej dla piękniejszej, lepszej, ale gdzietam. Nieraz dla brzydkiej, ordynarnej dziewczyny depcze się miłość pięknej kobiety za którą tłumy szaleją, bo takiemu panu zmysły zagrały, słyszałam o takich historjach. Mężczyźni są wstrętnei, poprostu obrzydliwi, wierz mi. Im wszystko jedno, aby coś nowego, coś, czego jeszcze nie mieli. Jeszcze ty gorzko twego optymizmu pożałujesz, zobaczysz.

Umilkła.

I nagle łzy trysnęły jej z oczu. Zerwała się, a potem jak dziecko szukające opieki padła na kolana przy kanapie Ani, ukrywając głowę w dłoniach. Ania biała, wychudłą dłonią gładziła jej złote włosy, szepcząc z serdecznem współczuciem:

— Biedna, moja biedna...

Po chwili Zosia podniosła głowę:

— Żebyś ty wiedziała, jaka ja nieszczęśliwa, jak strasznie nieszczęśliwa.

Ania zamknęła oczy. Nie umiała jej odpowiedzieć.

Powoli płacz Zosi zcichł, podniosła się i siadła, patrząc bezmyślnie przed siebie.

Ania sięgnęła niemal bezmyślnie po kwiaty stojące w kryształowym wazoniku, ozdobionym wążką, srebrną gałązką konwalji. Zosia spostrzegła ten wazonik i te kwiaty i spytała:

— Mąż ci kwiaty przynosi?

Ania zaczerwieniła się nagle i cicho odparła:

— Tak.

W Zosi zawrzała zawiść i złość: ten wazonik dała Brzozowskiemu w drugą rocznicę ich pierwszej schadzki, na pamiątkę upojeń wiosnianych, tam w Olece.

Jakieś złe uczucie szarpnęło nią całą. Starając się pohamować drżenie w głosie rzekła:

— Pokaż mi ten wazonik.

Anią podała go Zosi, a ta w chwili, kiedy Ania puszczała go, pewna że Zosia już go wzięła, cofnęła nagle rękę.

Wazonik padł, tłukąc się o nogi stolika.

— Ach przepraszam cię, taką szkodę zrobiłam — zawołała teraz.

— Ależ nic nie szkodzi, nic, tylko Henio może się zmartwi, to jego kawalerska pamiątka.

— A tak, kawalerska pamiątka. Ale się nie zmartwi, odemnie dostał — dodała.

I poprawiwszy kapelusz, chłodno żegnając się z Anią, rzekła:

— Do widzenia, za kilka dni zajdę. Pewno wyjadę bo mi doktor kazałjechać. Dużo mi to pomoże, wystawiam sobie, ale pojedę. Do widzenia.

XI.

»Tyle razy byłam u Was, ale ciebie nigdy zastać nie mogłam.

Wczoraj stałam przed bramą przez trzy godziny. Nie wróciłeś na obiad.

Jestem chora, bardzo chora, więc mnie wszystko tak męczy, tak drażni.

Czy ty już nic nie pamiętasz, nic?

Słuchaj, ja cię tak kocham, tak szaleję za tobą i nic już nie chcę od życia, tylko mieć ciebie codzień przez chwilkę przy sobie.

Przyjdiesz, usiądziesz z daleka, a ja się patrzeć będę na ciebie.

Czasami położysz mi rękę na sercu, co tak bije i boli, a moje serce ucichnie.

Chcę umrzeć kiedy tak rękę trzymać

będziesz. Wiem dobrze, że zbrzydłam, zem już nie ta Zosia z Olęki, ale na pamięć naszych dawnych dni, ty przyjdiesz, prawda? Przecież ty masz tyle litości w duszy, że przyjdiesz do mnie na chwilę, na godzinę tylko.

Widzisz, tyle czasu, miesiące całe bez ciebie spędziłam w gorączce, w rozpaczach bez granic. Tyś był daleko, nawet nie wiedziałam gdzie. A teraz jesteś tu blisko, oddychasz tem samym powietrzem i nie przyszedłbyś do swojej Zosi?

Nie daj mi umrzeć nie widząc cię.

Ja cię długo nie będę nudzić, zobaczysz.

Wiem, ty nie lubisz tego, co brzydkie.

Ale ja nie jestem tak bardzo brzydką, tylko schudłam strasznie i jestem jakby przezroczyta.

Przyjdź, ubiorę się w ten twój ulubiony biały szlafroczek, ty usiądziesz przy mnie, i tak przez chwilę, tylko chwilę, dobrze?

No słuchaj, słuchaj, przyjdź, bo ja

umrę, zginę bez ciebie, mój ty jedyny,
najdroższy, ukochany.

Twoja Zosia.

Brzozowski zmiął list, potem go znowu rozprostował i darł wolno na drobno kawałki, które końcem paznogzia w jedną kupkę zmiatał.

Te listy nie wzruszały go zupełnie.

Z chwilą gdy wygasło w nim pragnienie Zosi, była dlań czemś zupełnie obcem, niepotrzebnem, co mogło zginąć, zmarnieć.

A myśląc o niej nie czuł już najmniejszego pożądania.

Zresztą jak ona schudła! wygląda jak widmo.

Wziął do ręki kopertę i wpatrzył się w duże, dziecinne trochę pismo Zosi.

Ania powoli i cicho wsunęła się do pokoju.

— A masz, znowu do mnie pisze —
i ze śmiechem podał jej kopertę listu
Zosi.

— Cóż ci pisała?

— Że umrze, że chce mnie widzieć.
A to piła!

Anię uderzył niemile ten lekceważący ton Brzozowskiego.

Odparła natychmiast.

— Teraz tak mówisz, bo ci się już nie podoba, ale dawniej warjowałeś za nią.

— Ja warjowałem? Nigdy w życiu. Ona za mną włóczyła się i ciągała zawsze. Mnie było ostatecznie wszystko jedno.

Anię te słowa rozdrażniły.

— Niedobry jesteś. Póki była nowością, toś za nią latał, a teraz wypierasz się jej. To niegodziwie. Tak samo o mnie powiesz gdy się w innej zakochasz.

Brzozowski przeciągnął się w fotelu, uśmiechnął i cicho rzekł:

— Kocham moją Anię tylko i nie umiałbym już nikogo kochać. Raz się podobno kocha. Tamto wszystko były fantazje. Ona jak i inne. Chodź do mnie — dodał i przyciągnął ją do siebie.

A ona rozbrojona zaczęła go całować, wreszcie rzekła:

— Wiesz, odpisz jej, choć słówko, ona taka biedna.

— A dajże mi spokój; nie będę mógł później wyjść na ulicę, będzie wystawać pod bramami.

— Napisz, proszę cię.

— Chcesz? Dobrze, napiszę.

Wziął papier i napisał:

Szanowna Pani!

Odpisuję po raz ostatni. Obowiązki moje, czas coraz bardziej zajęty, nie dadzą mi znaleźć chwili na wizyty, zupełnie zresztą niepotrzebne, sędzę. Miała Pani wyjechać dla poratowania zdrowia, tak mi mówiła żona. Radzę to uczynić. Może wyjazd uspokoi Panią, czego szczerze życzy

H. Brzozowski.

— Masz przeczytaj.

Ania rzuciła okiem, papier wypadł jej z ręki.

— Co, dobrze? — zaśmiał się Brzozowski.

— Dobrze — odparła bezdźwięcznie i wyszła.

Nie mogła żądać, aby pisał serdecznie, nie chciałyby tego, ale coś ją zabolalo, coś ją zraniło. Zdało się jej w tej chwili, że przeniknęła jakąś skrytą cząstkę duszy Brzozowskiego, że odgadła otchłanie zimnego egoizmu i płycizny, jaka w nim była.

Weszła do swego pokoju, padła na kanapę i zaczęła płakać.

XII.

Kończyli herbatę.

Lampa rzucała jasne światło na stół jeszcze zastawiony, na Anię trochę bladą, ruszającą miarowo biały, elegancki wózek, w którym za niebieskimi zasłonkami spała jej córeczka.

Brzozowski przerzucał pisma, paląc cygaro.

Służący wszedł i podał mu list.

Brzozowski spojrział i zdziwiony zawołał:

— Patrz, to od Horna z Nauheim. Czego ten pijak chce?

Rozerwał kopertę i zaczął czytać.

Na kawałku oddartego papieru Horn drżącymi literami napisał:

»Słuchaj, podlec, ona umarła. Przez ciebie umarła. Dla ludzi mówię, że na serce, ale tobie powiem prawdę, ty łotrze: ona się otruła, bo bez ciebie żyć nie mogła.

Napisała ci przedtem list, ale go podarłem, bo nie chcę, żeby taki szubrawiec miał w ręku jej ostatnie słowa.

Ona umarła, a ja piję, a ciebie przeklinam, żebyś zmarniał, zdechł pod płótem, żeby ci to dziecko twoje zdechło, ty zbrodniarzu. A ze mną nie radzę ci się teraz spotkać. Jej niema, więc swobodny jestem. Jak cię spotkam, to ci palnę w łeb, pamiętaj.

Horn.

— A łajdak! — i rzuciwszy list, Brzozowski zerwał się od stołu.

Ania schwyciła kartkę i czytać zaczęła.

— Boże, Boże! — zawołała, biegnąc do wózka dziecka, które przebudzone płakać zaczęło.

— Masz, Bóg cię skarże, co ja zrobię, on ją przeklął, to maleństwo moje —

szlochała Ania, tuląc dziecko rozplakane do siebie.

Brzozowski, wzburzony, chodził koło stołu.

— Nie becz, cicho bądź — krzyknął — Dużo ci zrobi ten pijak. Ja mu pokażę! do więzienia go wsadzę za te pogrożki.

— Heniu! ona umarła przez ciebie i przeklęła nas, widzisz, umarła przez ciebie — płakała Ania.

— Masz tobie! przezemnie! To nie trzeba było wychodzić gwałtem za mnie. Cóż ja miałem z wami zrobić. Warjatka była zresztą przez całe życie. Wierz ty w to otrucie, wierz!

Ania schwyciła dziecko i wyszła z pokoju.

Po raz drugi przejrzała i coś, w lęku wielkim zmroziło się w niej i zamarło.

Zdało jej się że zobaczyła pustą duszę Brzozowskiego, w której tylko on sam królował, zimny, płytki egoista, dumny, że piękny, że umie zdobywać i zwyciężać.

I łkając rzuciła się na kolana przed płaczącym dzieckiem; czuła, że w życiu tylko tyle jej zostało.

A Brzozowski siadł przed stołem.

Otruła się.

Dla niego.

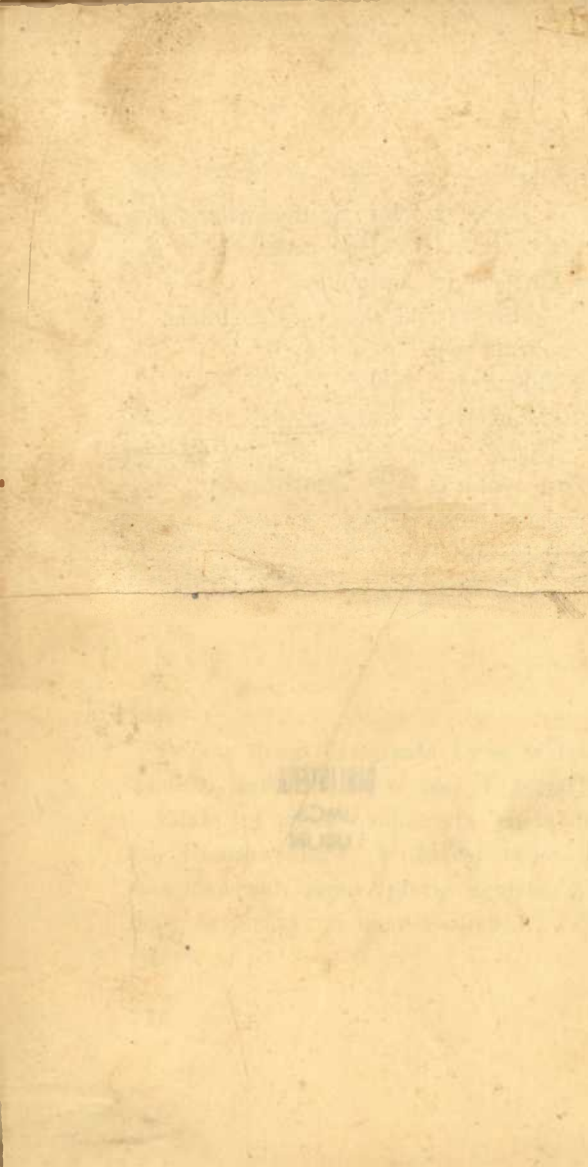
Uspokoił się już zupełnie.

Ujrzał przed sobą białe, wiotkie ciało Zosi, ciało Tanagryjskiej statuetki, przypomniał sobie Olękę, a potem szepnął z gniewem:

— Zeby taki bałwan śmiał tak do mnie pisać!

I zapalił nowe cygaro.

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN



Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 18523

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki



1000173253